













*J. W. Cunningham*

ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

---

Wydanie nowe, przejrzane, poprawione i uporządkowane przez autora.

Ogólnego zbioru tom pierwszy.





# DWA ŚWIATY

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Z portretem autora.



Widziałem wszystko co się dzieje pod słońcem :  
a oto wszystko marność i utrapienie ducha.

*Ekklesiastes R. I. w. 14.*

Każdy z nas dźwiga swe brzemie...

*Anonym.*

Wydanie nowe, przejrzone i poprawione przez autora.

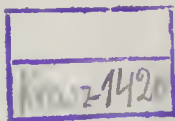
TOM I.

*Stronoporyjusz*

LWÓW,

W. księgarni Gubrynowicza i Schmidta.  
przy placu św. Ducha 1. 43.

1872.



---

Nakładem Rogosza, Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.  
Drukiem Kornela Pillera.

# Nieznajomym przyjaciołom

P o s y ł a

*Autor.*

Żytomierz, d. 11. lutego 1855.



## SŁÓWKO WSTĘPNE.

---

1854—1871. — Przed laty siedemnastą!! przed laty siedemnastą, które spłynęły cierpieniem i nadzieją jak siedemnaście godzin — pisaną była na wsi, wśród pól i lasów ta powieść, do której autor ma niewytłumaczoną słabość. Byłażby ona słabą sama i budziła to uczucie co dzieci ulomne? Ja nie wiem... Ona mi jest wspomnieniem lepszych a innych, a wielce odmiennych czasów. Były to godziny nadziei, nie dla siebie — ale dla społeczeństwa, które w pocie czoła zdawało się mozolnie na lepszą przyszłość pracować. Welyńską jest ta powieść, bo z obrazów w tamtych stronach czerpanych się składa, ale zda mi się być polską, bo się one na naszej ziemi, prawie wskrós w głębi jednej, wynajdą nawet dziś jeszcze. Stan jednak ducha i stan społeczny nasz z 1854, jak niebo do ziemi do 1871 nie podobny. Smutną jest ta powieść, ale rzeczywistość byłaby stokroć smutniejszą, gdyby po za nią dalej duszą spojrzeć nie można. Świat nasz z r. 1854 miał i cel i nadzieję, i był jeszcze mimo walk wewnętrznych dla wyrobienia sobie jedności organicznej — dosyć spójny a cały w sobie. Dziś z rozbitego zostały — czerepy. Przyszłość je skleja, ale już nie za dni naszych, nie dla serc naszych i czuów... Jedno z dwojga, albo się rozsypiemy w niepowrotne gruzy, albo ta mnogość światów jednym się stać musi światem.

Te dwa światy — dziś, dziś są tysiącem... podzieliśmy się tak, iż nas już żadne *wspólne* uczucie zbliżyć

nie zdoła, nawet w tem wspólnem jest tysiąc różnic i odcieni. Nie rozpaczajmy jednak, że drogą rozkładu idziemy do spojenia z sobą — prawa są niezłomne. Tak być musiało. Lecz naówczas, gdyśmy tę powieść pisali, inna obiecywała się droga, prostsza a łatwiejsza i krótsza. Wszystkie serca były szlachetnemi porywy; rozumiano dobrze co piękne i wielkie i ta proza życia odartego ze wszystkich uroków, która nas dusi teraz, jeszcze była ze swym mefityzmem nie przyszła — a! dobre to były czasy! a gorące! a pełne ochoty do pracy, do poprawy, do działania... a pełne ciekawości nieciekawego jutra!! Z tych ludzi co wówczas żyli z nami — dziś większa część w mogile, mała część pozostała sobą a wielu uległo metamorfozie Cyrcy... Są to odpadki nieuchronne w każdym takim przetwarzaniu się procesie.

Na los, jaki tę powieść spotkał, wcale się uskarżać nie mamy prawa, drukowana naprzód w odcinku dziennika, czytana była z zajęciem, a korespondencja nasza z tamtych czasów mogłaby być dowodem, iż zadanie poruszone tak lekko w niej, tak ostrożnie podjęte zostało przez niejednego myślącego człowieka, a najrozmaiciej rozwiązywane. Wywołała ona i polemikę, chociaż nie tak bolesną jak dzisiejsze, a dla piszącego zawsze pożądaną, bo świadczy, iż dotknął niezerwanej jeszcze struny żywota. — Jeśli się nie myliny, jak wiele naszych powieści, była też tłumaczoną na język rosyjski. — Czytelnik najlepiej czuje co w niej jest wspomnieniem i historją, a co do dzisiejszych dni należy...

Drezno, maj 1871 r.

---

## I.

Powieść! znowu powieść! znowu przed wami odsłonić mam cząsteczkę wielkiego obrazu, na którego odmalowanie w całości nie wystarczyłoby życia! Bądź wola wasza, choć ani serce po temu, ani znużone pióro ochotczy się bierze do niej... ale rozkazy słuchaczy są wszechmocne... Każecie bazarzowi rozpocząć historję, której drżemiąc, jednym uchem słuchać będziecie i bazarz po cznie posłuszny. Wam, wam się zdaje może, że jemn stworzyć tak łatwo opowiadanie, jak wam go wysłuchać łatwo, by jutro zapomnieć? A! nie! nie kochani czytelnicy... te czarne głoski, któremi biały, niewinny papier bruczemy, te chłodne dla was wyrazy, które zostawiamy, by wam myśl naszą przesłać z niemi, nie rodzą się bez trudu i boleści. Dobre to były czasy, gdy pisarz mógł suchych różnobarwnych ziarenek nanizać na jedwabną nitkę i rzucić ją ludziom jak zabawkę... dziś, wszyscyśmy więcej wymagający, my szczególnie co piszemy... Na jedną lekką powiastkę, którą przeczytacie w godzin kilka, a zapomnicie w kilka minut może, ile krwi naszej, ile duszy wyzionać musimy... Myślicie, że dość jest spojrzeć na świat, pochwycić kilka typów chodzących po nim w świętej niewiedomości o oryginalności swojej, wsadzić je

na szpilkę, jak entomolog robaczka, a powieść się skleić! O! nie! nie! powieść to życie, powtarzam po raz setny, a dając życie, trzeba je wyczerpnąć z siebie. Każdy obłamek świata stworzony przez pisarza, kosztuje go więcej niż wart może... musi mu dać duszę — myśl, musi dać serce — uczucie, i barwę i prawdę i całość... wy potem z tem niemowlęciem, siedząc wygodnie u kominika, przerywając sobie śmiechem i żartami, bawić się będziecie chwilę tylko i nie nie wyczytawszy z jego oczu i szczebiotania, wypchniecie je za drzwi, gdy nadejdzie gość nowy... Szczęśliwi, co cudze dzieci przystroiwszy trochę, puszczają je w świat za swoje; tych one ani łez, ani cząstki ich żywota nie kosztują... i nie zapłaczą po nich, gdy gdzieś w tłumie przepadną...

Wiem, że siadając do nowej powieści, zawczasu mi się nad jej losem serce ściska... nie dziw... serce to ojcowskie... Któżby zabolął, jeśli nie on?

Na kilkuset czytelników, ilu ją zrozumie? ilu dokończy, ilu zapamięta! Zapomina się rzeczywistość, cóż dopiero to, co zowiemy zmyśleniem? Nie rozumiemy otaczającego świata, jakże wymagać, iżbyśmy wszyscy powieść zrozumieli i poszli do jej głębi po ostatnie słowo??

I tak też smutno siać pisać, jak u kolebki nowonarodzonego myśleć o jego przyszłości: oko i serce widzi w niej zaraz trumienkę... z po za pieluch wygląda już róg calunu, w chrzcie jest zadatek ostatniego pomazania...

Ale do czegoż te lamentacje nad trochę zamazanego papieru? spytacie... A! dla was to tylko zbrukana kartka, dla mnie to żywota cząstka, którą rzucić muszę na pożarcie obojętności, znużenia, znudzenia i kapryśnym wymaganiom straszego nieznanego, co się słuchaczem



nazywa!! I boleję dla tego tak głośno, tak śmiesznie może, żebym u was litość wyprosił, żebyście nie sądzili, że siadam chłodny, powtarzać to, com tysiąc razy powiedział, dla tego tylko, że mi nakładca załądał zbrukanego papieru, że nie mam lub nie umiem robić co innego! Przy każdych urodzinach nowej powieści jam tak smutny i tak przejęty, choć wam zdaje się może, czytając, że ją wysnuwam śmiejąc się i z was i z siebie. Są może szczęśliwi, którym rzucenie w świat cząstki swej duszy nie wiele kosztuje; lecz ja bym pragnął wzbudzić w was wiarę, że inaczej z tym podarkiem przychodzę; że nie pierwszą lepszą myśl, podniesioną na gościńcu, którym wszyscy się snują, rzucam wam obojętnie na karmią, ale surowiej pojmując obowiązek choćby powieścio-pisarza, widzę w nim coś więcej nad stan skoczka na linie lub kuglarza; chciałbym, żebyście choć trochę serca i duszy dali tam, gdzie ja całe serce i duszę wylewam...

Jeszcze słowo... jeszcze małuczkie tłumaczenie... a otworzę drzwi, podniosę zasłonę i poproszę was do środka...

Raz, dawno już temu... przechadzałem się zamyślony po bibliotece Horodeckiej, dziś pustej i myszom podobno za plac igraszki służącej, naówczas jeszcze ożywionej duchem tego, co ją składał, co się nią cieszył jak dzieckiem swoim, bo innych nie miał dzieci! Przerzucałem z kolei druki i rękopisma, zadumywał się długimi godzinami, to nad wierszem poety, to nad sławną i kraszoną głoską miniaturzysty, jakiegoś mnicha XII. lub XIII. wieku, uniejącego zawczasu odgadnąć sztukę, jaką późniejsze stworzyły wieki; w tej przechadzce po bibliotece, która nieraz całe mi dnie zajmowała, dostar-

czając pokarmu marzeniom na lata całe, wpadłem z kolei na zbiorek sztychów z galerji Brühla. Brühl za przykładem pana, miał piękną, dobraną galerję obrazów, i za pana przykładem także, gdy się Dreźnieńska sztychowała, swoją też rylcem kazał nwiecznić. Były w niej szczególnie piękne pejzaże, śliczne flamandzkie obrazki i rodzajowe utwory szkół niemieckich; błdziłem po nich obojętnie, gdy odwracając kartę, wpadłem na sztych, który mnie zdumionego przykuł i zatrzymał. Był to obraz Spagnoletta. wystawujący śmierć św. Józefa Oblubieńca. Pojął malarz tę chwilę, którą cudownie odtworzył, jak nigdy może żaden z większych mistrzów, nie zrozumiał połączenia rzeczywistości z ideałem; nie wiem zaprawdę, jak potrafił skleić ziemię z niebem w sposób tak ścisły i tak doskonały, to wiem, że zdumiony, przejęty, jak gdybym scenę ową miał przed oczyma, oderwać się od niej nie mogłem. rzucałem ja, wracałem do niej, czułem łzy na powiekach i dziś po upływie lat wielu, choć już od dawna arcy-dziela tego nie widziałem, jeszcze mi ono tak pozostało przytomnem, jakbym je wczoraj podziwiał... Na niewielkiej kartce miałem przed sobą wielki, potężnie żyjący utwór, drgała w nim dusza... nił malarz, artysta, tryskała jakas dziwna prawda, spleciona z najpoziomszej rzeczywistości i najwznioślejszego ideału. Na lichem łożu, wystudjowanem z flamandzką ścisłością szczegółów, spoczywał święty rzemieślnik, dogorywający, usypiający po pracy i życiu ofiary... do koła niego rozsypane narzędzia ciesielskie, jakby tylko co dłoń je pracowita rzuciła... Przy łożu Chrystus z nieziemskim obliczem, błogosławiący na podróż niebieska przybranemu ojcu, w głowach rozplakana Matka Boża. i stoliczek zastawiony flaszkami, miseczkami

mi, przyborem choroby ubogim i smutnym, a po za nim dwaj aniołowie, czekający na białą duszę, która do nieba zanieść mieli.

Oto cały ten dziwaczny w opisie obrazek, któremu równego nie znam, bo żaden na mnie tak wielkiego nie zrobił wrażenia. Ci aniołowie i flaszki z lekarstwami, ten Bóg i cieśla, nimbusy wiekuistego życia i lichy przyrząd rzemieślniczy, nie wiem jakim środkiem, w jakiej chwili najszcześliwszego natchnienia, tak w jedno złął artysta, że cnd wydawał się naturalnym i koniecznym, choć graniczył z najpospolitszą życia powszedniego prozą. Aniołowie zdawali się tu nie zjawiskiem nadprzyrodzonym, ale gośćmi codziennymi, a obok nich nie raziła pospolitość szczegółów, owszem prawda jedna, drugą prawdę wyższą, prawdopodobniejszą czyniła. Nie wiem po wiele kroć powracałem do tego obrazu, a za każdym razem nowe w nim upatrywałem piękności, i z duszy zazdroszczę temu, kto dziś to arcy-dzieło posiada, lub sztychem przynajmniej z niego cieszyć się może.

Co Spagnoletto, któremu nie zawsze się tak szczęśliwie udawało — dokazał w tym utworze, nie jest-li zadaniem powieścio-pisarzy? Nie schodzimy-li powoli malując rzeczywistość do karykatury i niepotrzebnego odwzorowywania najpospolitszych zjawisk? nie należałoby obok narzędzi rzemiosła, obok flaszek i miseczek tworzyć anioły i świetnym nimbusem otaczać ich skronie? Powieść ma-li za cel, przedstawić tylko życie, jak ono jest. czy żywot człowieka, jakiego w duszy pragniemy? ku któremu wzdychamy?? Obok smętnej w śmiertelnych potach zgonu rzeczywistości leżącej na łożu boleści, czy nie brak oblicza jaśniejącego światły nieśmiertelnymi? czy obraz pelen być może, jeśli weń pro-

myk z niebios nie spadnie?

Nie wiem... nie wiem... ale pytanie moje rzucam jako wstęp do tej powieści.

## II.

Pomiędzy Włodzimierzem a Uściługiem, na pocztowej drodze, jest wielka murowana karczma, na oko bardzo porządna, w istocie wygodna dosyć, którą, nie wiem z jaką myślą, wzniesiono w bardzo pięknem miejscu. Sąsiedztwo Włodzimierza z jednej, Uściługa z drugiej strony, czyni ją prawie niezrozumiałą, przecież podróżny rad ją spotyka i chętnie w niej wypoczywa. Stoi ona na wzgórku, nad parowem, okrażona ładnymi laskami i zaroślami, a na wiosnę tyle tam słowików, tak cicho! tak zielono i miło! Widok wcale nie rozległy, ale oko spotyka się z lasami, które przy wzgórzach i wodzie już wdzięczny krajobraz stanowią... Ledwiebym nie powiedział, że ktoś rozmiłowany w tej ciszy, gospodę tu dla lubiących zieloność i lasy zbudował umyślnie, bo wsi nie ma blisko, karczma usunięta jakby na przekór od niej, i wybrała sobie parów nad rzeczką a widok na gaje, jakby ich wartość rozumiała. A choć w starym Włodzimierzu starych zajezdnych domostw nie braknie i po każdym pożarze stają nowe; choć w Uściługu niedalekim jest Złota Basia i tyle innych jej współzawodniczek — karczma w lesie, urągając się miejskim zajazdom, widocznie stała z pretensją służenia nie tylko dla mnogich wozów wieśniaczych, powracających od Bugu, ale i dla większej wygody potrzebujących podróżnych. Ogromne sieni wprawdzie i obszerny plac przed bramą mnóstwo fur pomieścić mogą, ale obok tego jest kilka po-

kojów bardzo porządných, i z niejakim utrzymanych wykwinem, kanapy, stoliki, nawet coś naksztalt billardu. Przytomność tego sprzętu zdradza poniekąd myśl fundatora, który może chciał tu mieć rodzaj pohulanki dla Włodzimierskiej palestry; ale wolimy wierzyć, że się w pięknem miejscu rozkochał, niżeli żeby na kieszeń chudą kancelarzystów miał rachować. Rachuba taka do zbytku byłaby naiwna.

Zresztą, mniejsza o gospodę, w jakim celu z takim szafunkiem cegły postawioną została, mniejsza o jej znaczenie, przystąpmy już do tego, co się w niej działo w roku... którego nie powiemy, dość, że 18...

Było to w lecie, przed wieczorem; drugi już dzień przestankami lał i kropił deszcz, który nietylko utrudnił podróż i rozkwasił grobelki, ale nieźnośnie dokuczać musiał podróżnym. Chmury z zachodu wysuwały się zrazu jedna po drugiej bez przestanku, czarne, szare, płowe, i leciały na wschód, gnane jakąś siłą przeważną, która im na krótko tylko wstrzymywać się dozwalała i pasmami kroplistego deszczu oblewać ziemię spieczoną. Po krótkiej ale gwałtownej burzy, która długą przerwała suszę, niebo się zasępilo, jak w jesieni, powietrze ochłodziło, jakby gdzieś obfite spadły grady i ulewa na przemiany z drobnym kapuśniaczkiem dokuczała tym, którym niedawno równie dopieklą zbyt przedłużona susza.

Przed karcziną, którąśmy wspomnieli, stały fury wieśniacze z kołmi pookrywanemi staremi świtami, cierpliwie znoszącemi kąpiel wcale niepotrzebną, kilku chłopków w workach na głowie leniwie kręcili się koło wozów, była i buda żydowska płótnem obciągnięta, z której tylko co zlazł woźnica dla zapalenia fajki, i biedka jakiegoś posłańca wysłanego w pilnym interesie, ale nie

mającego ochoty narażać się na deszcz powiększający się ku wieczorowi, i koń osiodlany żydka, i dosyć podróżnych, bo nawet choć słońce nie rychło zejść miało, już w jednej z izdebek gospody siedział sobie podróżny, którego wózek niepoczesny z parą tłustych, ale drobnych koni, schronił się pod dach gościnny.

Był to młody człowiek, którego przymuszony spoczynek dosyć niecierpliwie musiał, bo chodził od okna do okna, wyglądał za wrota, przypatrywał się niebu, przysłuchiwał wiatrowi, i niemogąc nic dobrego wywróżyć ze znaków meteorologicznych, upornie nie pogode zwiastujących, zżymał ramionami i potrzasał głową. W tym podróznym, którego łapiemy tak niegrzecznie na drodze między Włodzimierzem i Uściługiem, nie było nic bardzo zastanawiającego. Był to młody mężczyzna, lat około trzydziestu nieć mogący, ledwie średniego wzrostu, dosyć silnie zbudowany, ale nie otyły, muskularnej budowy, którego strój zdradzał położenie w świecie z ubóstwem graniczące. Pomimo wyszarzanej burki, starego czarnego na wszystkie guziki zapiętego surduciny i niewytwornego ubrania, było w nim jednak coś tak szlachetnego i niepowszedniego, że w tłumie ścigałaby oko i kazał się domyślać, jakim trafem upadł tak nisko. Twarz jego, choć nadzwyczaj opalona i czarna, ale pełna świeżości, zdrowia i siły, zastanawiała nietyle rysami co wyrazem. Malowało się na niej to uczucie spokoju i ufności w siebie, które przystoi zrodzonemu w pracy i wypróbowanemu od losu; czoło szczególnieź wzniosłe, gładkie, pięknie utoczone, oczy ciemne, bystre, pełne ognia i pojętności, uśmiech dobrocią namaszczoney, nadawały tej fizjonomji cechę odrębną. Twarz ogolona cała, odznaczała się tylko męskim zawieszistym wąsem,



jakby na pamiątkę starych czasów zostawionym na licu, ale niepielegnowanym z zalotnością tych, którzy wása dla nadania sobie powagi lub wdzięku używają. Wás to był rosnący jak Bóg dał, rozsypany, bujny, o którym wcale właściciel jego nie przemyślał, ani się óń troszczył. Barwa jego nieco od włosów jaśniejsza, nie wpadała w rudą jak to się u nas często trafia, ale zarzywała na złotawą. Z pod niego uśmiechały się usta trochę wydatne, którym wyraz szyderstwa całkiem był obcy, znać ono nigdy nie powstało na nich, bo nie zostawiło śladu. Nos kształtny, garbaty, mały i oczy ciemne osadzone głęboko pod wystającą kością czołową, dopełniały całości, którejby rychlej można kilku ołówka rysami niż długim opisem dać wyobrażenie. Twarz ta była sympatyczna, pociągająca, piękna prawie, choć się o wdzięk nie dobijała a słońce ją zbronzowało nietościwie; czoło tylko pokryte, bielsze znaczuie od policzków, zdawało się świecić ponad nią jakimś blaskiem łagodnym i spokojnym. Mały, krępy, zręczny i szykowny podróżny nasz wyglądał młodo, zdrowo, silnie, a ruchy jego zapowiadały człowieka, który spoczywać nie lubi i o wygodach nie myśli wcale. Zrzuciwszy burkę przemokłą, wyciągnawszy się i strzepnawszy po przemoczonym na bryczce siedzeniu, które go zmoczyło, młody człowiek chodził żywo, żeby się rozprostować. Niekiedy piosenka przylatywała mu na usta, parę dźwięków z nich się wyrwało, ale myśl nie dawała im wybiedz swobodnie z piersi; zadumany, przestawał nucić i głęboko się zamyślał. Gospodyni domu z troskliwością przyszła się dowiedzieć czy nie potrzebuje czego, natraciła o samowarze i herbacie, ale podróżny poprosił ją tylko o szklanke ciepłego mleka i kawał chleba, co jej, niestety, nie-

zmiernie o nim złe dało wyobrażenie. Za drugim razem przyszedłszy z tem mlekiem pani domu, miała już minę daleko poufalszą i w rozmowę wdawać się nie chciała; młody człowiek też nie dobijał się o nią, napił się, zakąsił, fajkę zapalił i począł znówu chodzić po izbie.

— No, co będziemy robić Parfenie, zapytał wreszcie chłopaka od koni, który przeze drzwi zajrzał do pana — jak myślisz? czy przekłety ten deszcz ustanie przed wieczorem? czy nam jechać czy nocować?

— A cóż? odparł chłopak chowając fajkę w kieszeń od świtki na pędce — możebyśmy pojechali, słota na trzydniówkę się zabiera, my tu jej nie przeczekamy, a jejność czekać będzie i niepokoić się o pana.

— Ależ to tegie dwie mile, a droga pohana... a noc za pasem...

— Albo to my raz tę drogę przebywali! oj! oj! odparł Parfen kiwając głową — choć po nocy trafimy do domu... Konie napoiłem, siana przegryzły, wyprychały się, jeszcze nas taki dociągną przed nocką...

— Daćby im po garncu owsa?

— Czy to one głodne! rzekł Parfen!

— Oj filucie! filucie, dodał śmiejąc się i grożąc młody człowiek, tobie pilno czegoś do domu.

Chłopak się zacerwienił, za głowę ręką pochwycił, włosy otrząsł, ale schwycony ruszył tylko ramionami.

— Jak pan każe, jak pan każe... ale jejność będzie niespokojna, pewnie i tak na objad czekali.

— A! no! pojedziemy, bo i mnie tu się nocować nie chce, odpowiedział panicz, jak konie dojedzą, zaprzęgaj i daj mi znać.

— Duchem! odparł Parfen.

Właśnie wśród tej rozmowy między panem a sługą,



z której widzimy stosunek ich do siebie i odgadnąć już możemy charakter podróżnego pełen dobroci, choć nie pozbawiony energii, hałas się wszczął u wrot gospody; wyszli oba i zobaczyli piękną resorową nejtyczankę, czterema końmi siwemi wzdłuż zaprzężoną, z woźnicą na kozłach w płaszczu migdałowym, z lokajem w liberji, zajeżdżającą raźnie i buńczuczno pod dach karczemny. Gospodyni wybiegła z szynkowni spojrzeć kogo jej Pan Bóg dał, i musiała czy poznać gościa, czy się ucieszyć migdałową liberją, bo sama na wspólny z lokajem podróżnego, zaczęła rozpędzać wozy stojące w sieniach niezmiernie krzykliwe i z dowodami najwygórowańszej gorliwości. Ledwie tego dopełniwszy wbiegła do pokoiów gościnnych z gotowym do ścierania pyłów fartuchem, a tymczasem z pięknej owej nejtyczanki wysiadł z pomocą służącego przybyły i za nią wszedł do izby. Podróżny, który go poprzedził, zajmował ostatni pokój i nie mógł się lękać wyrugowania, jednakże spojrzał przez drzwi ciekawie na ten wjazd tak uroczysty, na który gospodyni krzyczała, gęsi piszczały i hałasowało co żyło, ale ledwie okiem rzuciwszy na powóz i pana, zaraz się skrył w swojej izdebce. Parfen korzystając tymczasem z przybycia powozu i rozruchu jaki powstał, wśród którego i jemu coś cierpko przymówiono, co najprędzej wziął się do nakładania szlei i zakiełznywania mierzynów. Nowy podróżny tak uroczyście przyjęty, był młodym człowiekiem, i gdy z siebie pozrzucił gumelastyczne płaszczyki, kapturki, pelerynki, chustkę i rozmaite obwijadła, ukazała się z pod tego wszystkiego piękna postać paniczkoatego młodzieńca w kwiecie wieku, to jest dwudziestokilkoletniego zaledwie, zręczna, miła i uderzająca prawie niewieścim swym wdziękiem.

Wysmakły, urodziwy, szykowny, przybyły byłby zwrócił oko każdej kobiety, szlachetnością rysów twarzy i słodkim wyrazem tęsknych swych oczów niebieskich. Bujny włos ciemno-blond, starannie utrzymany, okalał regularny owal, pełen arystokratycznego charakteru, wśród którego oczy ślicznie osadzone i łzawo spoglądające, nos delikatnie odznaczony, i usta smutno uśmiechnione stanowiły jedną z tych fizjognomji, jaką pospolicie artyści zwykli nadawać ideałowi, którego samoistnie pojąć nie chcieli czy nie mogli. Twarz była bardzo piękna, ale pomimo to niemal pospolita, a wrażenie jakie wzbudzała, graniczyło prawie z litością. Takie to było delikatne, słabe, wątłe, biedne, tak nie męskie!! Wąsik wprawdzie wysypywał się powolnie na zwierzchniej wardze, broda świeżo ogolona dowodziła, że rosnąć miała ochotę, ale pomimo te rysy, nawet piękność, a szczególnie charakter typny tego był całkiem kobiecy. Gdyby siła, zebrałoby się było może temu lalkowatemu paniczowi na dobroć, ale dla braku jej zdawał się tylko bojaźliwie łagodny... Ubior jego, nadzwyczaj i przesadnie staranny, uderzał zwłaszcza w podróżnym; począwszy od aksamitnej czapeczki do lakierowanych bucików, wszystko co miał na sobie, nosiło cechę najwymyślniejszej elegancji; a rączka gdy ją z rękawiczki glansowanej obnażył, ukazała się tak malutka, biała, tak wymuskana i wygładzona, jak gdyby nie w życiu prócz pukla włosów i batystowej nie wzięła chusteczki. Strój zresztą był najwykwintniejszego smaku, niewidny, jednobarwny, uszyty wygodnie, a krawiec naśladował w nim modę angielską, w której comfort stanowi całą niemal ozdobę. Surducik, kamizelka i reszta stroju były jednego koloru.

Wszedłszy do gościnnego pokoju, podróżny długo nie mógł się odważyć na położenie tego co z siebie pozdejmował na stole, na kanapie lub na krześle; z kolei oglądał te sprzęty pokręcając głową, chodził, szukał i na najczystsiejsem z krzesełek podesławszy płaszczyk, w porządku poskładał resztę chustek i zdjętej odzieży. W tejsze chwili uczuł przejmujące zimno, które zwykle u nas i w lipcu po niezamieszkanym kryje się kątach, zimno często przykrzejsze od grudniowego, wstrząsł się i dobywszy cygarnicy, żywo przechadzać się począł, szukając nań lekarstwa w przyspieszonym ruchu. Drugi pokój zajęty teraz przez przybyłego panicza, graniczył z izdebką w której znajdował się pierwszy nasz podróżny. drzwi między niemi nie były nawet zamknięte, i przypadek zrządził, że zapalając cygaro, ładny ów chłopak stanął oko w oko, progiem tylko oddzielony od pierwszego naszego podróżnego, który już burkę swą wdziewał i miał natychmiast wyjeżdżać.

Spotkały się ich spojrzenia, pierwszego śmiałe i życzliwe, drugiego dość bojaźliwe ale pełne również dobroci; panicz wyjął z ust cygaro, zdawał się niezmiernie zdziwionym, zawahał się, ruszył, postąpił, zatrzymał i krzyknął wreszcie:

— Aleksey!

— Julian! ozwał się głos z drugiej strony progu.

W tejsze chwili oba podróżni jednym uczuciem rzuceni postąpili ku sobie i Aleksey, nasz dawniejszy znajomy, pierwszy próg przestąpił, przez który tradycyjnie Słowianin się nigdy nie wita; namulana dłoń spotkała się z białą rączką, która równie jak ona drżała szczerem przyjacielskiem uczuciem.

Oczy obu zabłysły serdecznością, rozrzwinięciem pra-

wie, jakie tylko wzbudzić może przypomnienie spędzonych razem chwil młodości, koleżeństwo na jednej ławie lub w jednym obozie.

— Co ty tu robisz Aleksy? zapytał Julian z czułością — co za traf szczęśliwy? ty, tutaj?

— Mój drogi, poczciwy Julianie, odparł po chwili trochę znięszany Aleksy — ja tu w okolicy mieszkam... niedaleko, o dwie mile...

— Jakto? dawno?

— Od powrotu z Uniwersytetu...

— Gdzie?

— W Żerbach...

— W Żerbach? toż przecie mila mała od Karlina: widać z okien...

— Musi tak być, bo i ja z okien mojego domku patrzę na wasze pałace i ogromne drzewa waszego parku.

— Jakto? i dotąd aniś się o mnie dowiedział? z wyrzutem rzekł Julian... a! dodał upuszczając dłoń Aleksiego — tegom się nie spodziewał! to się nie godzi!

Aleksy nśmiechnął się smutnie.

— Mój drogi Julianie, rzekł powoli, inna to rzecz poczciwa nasza ława uniwersytecka, która równa wszystkim stany, a inna świat, wśród którego dziś żyjemy.

— Aleksy! w tem cię nie poznaję; ale o tem potem, rzekł Julian chwytając znowu jego rękę, wybierasz się jechać? dokąd?

— Do domu!

— Deszcz leje! wieczór nadchodzi! ja nocować muszę, już daruj, ale słowo ci daję, że cię nie puszcę... musisz zostać dla mnie!

Aleksy się zawahał, ale mu łza błysła w oku.

— Proszę cię, a w ostatku gotowym użyć gwałtu,

rzekł Julian przynaglając — nie odmawiaj mi! podwójnie smutno będzie mi w tej karczmie, jeśli mnie opuścisz, ja cię przecie wybadać muszę... nagadać się... nacieszyć toba... zostaniesz! zostaniesz!

— Ale...

— Nie ma ale. Aleksey mój drogi, musisz wieczór przepędzić ze mną.

I tak naglił, tak prosił, tak się po dziecinnemu napierał pieszczoszek, że Aleksey uległ wreszcie, zrzucił burkę i choć Parfen mruczał zniecierpliwiony, pozostał.

Wieleż to tak razy w życiu urok tych złotych chwil młodości spędzonych w jednej sferze, ogrzanych jednym wspólnem uczuciem, zbliża ludzi, którychby nic w życiu nigdy połączyć nie potrafiło! Jest to węzeł niemal tak silny jak związki krwi, które często targa interes, gdy przyjaźń szkolna opiera się nawet stosunkom pieniężnym, najdrażliwszym ze wszystkich, niestety! Spojrzawszy na tych dwóch młodych ludzi tak od siebie różnych, tak rodzajem żywota oddzielonych, niepodobna się było domyśleć, że ich cokolwiekbyś ściśle połączyć potrafi i da im na chwilę zapomnieć, że tak daleko w klasyfikacji towarzyskiej stali od siebie. Wspomnienia młodości dokazały tego cudu: siedli obok, dłoń w dłoń, oko topiąc w oku, zdając się oba szukać w sobie zmian, jakim ulegli od czasu rozstania i milczeli długo, porównywając może obraz, który im pozostał z dobrych akademickich czasów, z tym jaki im nastąpiło niespodziewane spotkanie.

— Mój Boże! jakżeś to panie Julianie wypiękniał, ale razem wydelikatniał! zawołał Aleksey — jaki z ciebie paniczek! jak znać, że ci ciężar doli nie dokucza, żeś swobodny i szczęśliwy!

Juljan westchnął, na wykrzyknik ten odpowiadając równie naiwuem postrzeżeniem.

— A z ciebie opalony gospodarz, mój Aleksy! szlachciec hreczkosiej! zardzewiałeś bracie, zadomowić się musiałeś, zapracować! Aleś zmężniał, pogrubiał i wyglądasz wyśmienicie!

Z kolei Aleksemu wyrwało się także lekkie, niepostrzeżone westchnienie.

— Obaśmy się odmienili, rzekł powoli — inaczej być nie mogło, ja w pracy, ty w spoczynku...

— Więc nie poszedłeś drogą naukową?

— A ty zarzuciłeś dyplomatyczną karierę, którą marzyli dla ciebie?

— Ja musiałem przyjść w pomoc matce, rzekł Aleksy.

— Mnie interesa zagnęły pozostać w domu, jestem głową rodziny.

— I ja także!

Spojrżeli w oczy i znowu ścisnęli dłonie uśmiechając się do siebie...

— Mój Boże! ile to zmian! zawołali obydwaj.

— Patrz! rzekł Aleksy — zdaliśmy się równymi sobie siedząc na ławie, która wobec nauki schylała wszystkie głowy; dziś gdyby nie pamięć tego braterstwa, jakże daleko stalibyśmy od siebie! ja, pomiędzy najskromniejszymi pracownikami, których powołaniem produkować chleb powszedni; ty wśród tych co zapewnione mając potrzeby codzienne, mogą spoczywać, marzyć, myśleć i duchem tylko pracować dla siebie.

— Wszystkie powołania, odparł żywo młody człowiek, równe są sobie, zdaje mi się, w obliczu społeczności, gdy się spełniają z poświęceniem, z pojęciem ich wartości i pożytku; na co się nie zgode między braćmi!

na co między nimi szukać różnicy!

Aleksy się uśmiechnął.

— Tak, młodszy i starszy, odparł, bracia jesteście, ale praw pierworodztwa i niedołęztwa młodości nic nie zerze; wszystkie te rozprawy o porównaniu stanów doskonale wyglądają na papierze, a w świecie zastosować się nie dają. Nie możemy być równi w rzeczy, jak jesteśmy równi w obliczu prawa, Boga i śmierci... to darmo!

— Zkądże ci to zdanie? zawołał Julian.

— Z doświadczenia, mój drogi, z doświadczenia...

— Przyznasz przynajmniej, że ukształcenie duchowe najlepiej nas porównywa i braci, że przy niem niknąć muszą różnice stanów i położań towarzyskich?...

— Nie żyjemy na nieszczęście duchem samym; są chwile porównania, są dla upośledzonych nawet chwile wyższości, ale żywot codzienny dzieli tych, których się dłonie splotły przypadkowo.

— To zdanie, zawołał Julian, tłumaczy mi już dla czego o miłą mieszkając od Karłina, patrząc z okien Żerbinieckiego dworku na zielone drzewa naszego ogrodu, ani próbowałeś przypomnieć sobie, że tam masz przyjaciela!

— Myślisz, że mi to kiedykolwiek wyszło z pamięci? rzekł Aleksy — mylisz się... pamiętałem o tobie, może wdychałem nieraz do towarzystwa twego, ale nie umiał powstrzymać od pokusy.

— Przyznam ci się, że przyczyny nie rozumiem!

— Bo nie pojmujesz tego, ile różnicy robi między ludźmi ich położenie towarzyskie, obowiązki, kółko, w którym się obracają, sfera, w której żyją. Powinniśmy żyć tylko z równymi sobie; w stosunkach, miłych bardzo z tymi, którzy mają więcej i żyją inaczej, znajdziemy



chwile rozkoszne, ale je opłacić musimy upokorzeniem, lub smutkiem.

— Stara duma szlachecka mówi przez ciebie.

— Nie, młode doświadczenie mój bracie... trzeba się często wyrzec słodyczy, które grożą npojeniem. Dla ciebie towarzystwo moje byłoby, nie przeczę, chwilowa rozrywką miłą; tobieby może nieprzykrym był widok człowieka, co by w prostej burce i szaraczkowym surdnie wsunął się do twoich salonów; wniósłby z sobą nowy żywioł, rozmarzczyłby czoło twoje, ale ja? Minowolnie musiałbyś się rozpieścić, rozpróżnować, rozmarzyć, pozazdrościć i nabyć uczucia, którego znać nie chce serce moje. Niezem ci się zdaje ten stosunek codzienny dwóch ludzi, których położenia są ogromnie różne; ja w nich widzę groźbę dla siebie i z obawy samolubnej nie jado do Karlina...

— To coś zanadto mądrze pomyślano, i jak na młodego, nazbyt okazuje przezorności, kochany Aleksy — a zdaje mi się, w dodatku, że jesteś w błędzie. Czemuż nie przypuścisz, że jabym mógł zmężyć przy tobie, a posądzasz się, że sam rozpieścićbyś się musiał? Czemu nie rachujesz na wpływ własny, a boisz się ulegać cudzemu?

— Bo znam człowieka, rzekł Aleksy — a szczególnie siebie. Położenie moje nie jest normalne, zanadto mam myśli i ducha do pluga i brony, siłę się, by podolać bez westchnienia i żalu obowiązkom moim, coś dopiero gdybym miał przed oczyma obraz, któryby co chwila budzić musiał we mnie zazdrość, żale i politowanie nad sobą?

— Nie jesteś więc szczęśliwy? zapytał Julian z czułością.



— Nie narzekam, rzekł Aleksy, i przekonany jestem, że w każdym stanie suma szczęścia i cierpienia do osiągnięcia człowiekowi dana jest równa — od niego zależy ją otrzymać. Ale na to właśnie potrzeba zrość się i wcielić w stan swój, a odwrócić oczy od tego, którego serce pragnie, gdy go osiągnąć niepodobna.

— Tak, masz słuszość, rzekł Julian — w każdym stanie, w każdym położeniu są troski nierozdzielne od bytu człowieka! — Westchnął. — Mówmy o czem innem, odpowiedz mi swoje dzieje!... Ja ci się z moich wyświadami; zaraz nam podadzą herbatę, zapalimy cygara, i pośmiejemy się jak za lepszych dni naszych — *ces beaux jours où nous étions si malheureux!*

### III.

Młodzi, spotykamy się zupełnie jak dziewczęta u studni, przychodzące po wodę, które pośmieją się z siebie, popatrzą sobie w oczy, razem spojrzą na przechodzącego chłopca, poprawią włosy rozplątane na głowie, zaśpiewają, i nie spytawszy jedna drugą z kąd przyszła i dokąd odchodzi, rozstają się z tą obojętnością dziecinną, którą daje jakaś głęboka wiara mimowolna w przyszłość i życie. Tak, gdyśmy się z różnych stron świata zbiegali na ławę szkolną, nikt z nas nie pytał drugiego z kąd przychodzi, z pod strzechy słomianej czy blachą krytego pałacu; nikt z nas nie sięgał ciekawie po za chwilę obecną w przeszłość i przyszłość swoją i braterską, znaliśmy się, kochali, dzielili wszystkiem nie potrzebując ani imienia, ani tytułu, ani spowiedzi, by oddać z piersi wyskakujące serce. Ciż sami, podstarzawszy na innym świecie, gdy namulane dłonie ścisnąć nam

przyjdzie i westchnąć razem do przeszłości, już pragniemy wiedzieć kto jesteśmy, już niepokoi nas jutro cudze i nasze, to cośmy przeżyli, brzemiona dawne i nowe, już chcielibyśmy weisnąć się do duszy, zajrzeć do głębi tych, których kochamy: już smutniejsi pytamy się jedni drugich, z jakiego jesteście świata!

A! bo wśród jednej ludzkości ileż to światów udzielnych, niedostępnych, odgradzonych, poprzedzielanych od siebie!! A wśród nich dwa główne światy, patrzące na się okiem nieufnem, z jednej strony z pogardą, z drugiej z zazdrością. Jest to świat bogatych i ubogich, świat tych co się bawią i tych co pracują, dwa obozy, dwa zastępy, któreby wspólnymi siłami dźwigać powinny brzemień przyszłości, a nie chcą sobie podać serce i rękę do uścisku. Z obu stron jest wina wielka; jedni zazdroszczą szczęścia które wymarzyli sami, drudzy mają się za coś wybranego, dla tego, że nie pojmują swoich obowiązków i do formy zbyt uczciwie przywiązali wartość, śmiejąc się z grubiaństwa gdzie uwielbiałoby należało serce, gardząc powierzchnią gdzie głąb ze szczerzego złota pokrywa szorstka skorupa. Z obu, tak, z obu stron wina wspólna i omyłka nie darowana.

Tych to dwóch światów przedstawiciele, Julian i Aleksy, dawniej towarzysze na akademickiej ławie, dziś już prawie obcy, spotkali się trafem w tej gospodzie na gościńcu, którego zarówno wszystkich pędził los do nieznanych celów. W pierwszej chwili gorąco przypominały się im obu dawne czasy braterstwa i w poczciwym zapomnieniu społecznych warunków życia, podali sobie dłonie z łzą w oku; ale gdy ochłonęli, oba poczęli mniej ufny mierzyć się wzrokiem, i pierwszy raz

w życiu postrzegli jaka ich przestrzeń dzieli od siebie.

Wykwintny strój Juliana, jego niewieścia twarzyczka, burka przemokła i ogorzała twarz Aleksego, uderzyły ich nawzajem i pierwszy, uboższy, cofnął się od starego przyjaciela. Nie uszło to baczного oka Juliana, który i z rozmowy wniósł, że towarzysz dawny już się jak wprzód za równego mu nie uważał, i zabołał. Dotąd ani jeden ani drugi nie wiedzieli nic o sobie, prócz że byli ze stron jednych, z jednego ukochanego kąta kraju, że ten był bogatym, ów ubogim; na myśl im nie przyszło głębiej zajrzeć w siebie; dziś gdy na nowej drodze zeszli się znowu, obadwa uczyli potrzebę poznania się bliższego.

Tymczasem herbowny sługa Juliana zniósł do izby gościnnej mnogie pakunki, bez których panicz ruszyć się nie mógł; rozstawiono przybór do herbaty, zawrzał samowar, i znalazło się wszystko co wygodnie mogło zastąpić wieczerzę, nawet z pewną elegancją podana. Przyjaciele zasiedli przy okrągłym stole, a Julian zrzućwszy z siebie ubranie, ukazał się w paradnym atłasowym szlafroku, w krymce perskiej, w aksamitnych szarawarach i złotem szytych pantoflach; pod nogi posłano mu dywanik, ścianę także zaraz objąć zaczęto makatką, którą po staroświecku płotkiem zwano, — i nie poznałbyś izby karczemnej, tak się wyświeżyła i przybrała na przyjęcie dostojnego gościa.

— Niechże tu i twoją pościel przyniosą, rzekł Julian, położym się i gadać będziemy do dnia białego.

Aleksy się rozśmiał.

— Mój drogi, rzekł, ja nie jeżdżę z pościelą, dadzą mi trochę siana, rzucę na nie kilimek z bryczki zdjęty, gdy go trochę przesuszają, okryję się burką, i po

wszystkiem...

Juljan spojrział trochę zdziwiony, ale nie nie odpowiedział. Gdy się rozgrzali, rozgadali i rozochočili upajając wspomnieniami, Aleksy pierwszy zagadnął towarzysza.

— Mój drogi, odezwał się, byliśmy z sobą bardzo dobrze chodząc na oddział jeden i kolegując lat kilka; ale tyle znam twoje położenie co ty moje. Wiem, i tegom się już w Żerbach dowiedział, że jesteś, wraz z siostrą i bratem, dziedzicem wielkich włości, że masz pałac, żeś pan jednym słowem... Chcesz także wiedzieć coś o mnie, ośmielże mnie zaznajamiając naprzód z sobą.

— Najchętniej, sam tego pragnąłem, odpowiedział Julian, podpierając się na rękę i smutny przybierając wyraz twarzy — zaraz ci opowiem wszystko co się mnie tyczy, ale nie spodziewaj się ani wiele, ani nic ciekawego usłyszeć... pospolite pańskie dzieje! boć niby to pan jestem!

— Niby...

— A! tylko niby, rzekł Julian wzdychając... Wychowali mnie na pana, bo noszę jedno z tych imion, które się na kartach historii kilkakroć spotyka, a związkami swemi należy do arystokracji krajowej; ale państwo nasze bardzo kruche.

— Nie jesteście przecie zrujnowani? spytał Aleksy.

— Dotąd nie, ale na to imię głośnie, na tryb życia który prowadzić musimy, mamy za mało!!

— Nie wiedziałem, żeś tak chciwy!

— Ja! zlituj się! nigdy nie zgrzeszył żądzą bogactwa, ale... — Julian westchnął.

— To bieda, przerwał Aleksy, że cię wychowali na pieśzczołka, na paniczka, na delikatne stworzenie, które potrzebuje puchu złotego, ażeby w nim wyżyć

mogło.

Juljan spuścił oczy.

— Masz słuszość, rzekł powoli — przez zbytek troskliwości może, przez jakieś niewyrachowanie, zrobiono ze mnie istotę najuieszcześliwszą, drżącą nienastanie nad urojonem cierpieniem, którego by znieść nie potrafiła... Wszystko mnie przeraża: chłód, gorąco, brak tego do czego nałogowo przywykłem; życie moje zdaje mi się przywiązane do tych tysięcy warunków, które dla takich jak ty nie stanowią... z którychbyś ty śmiać się miał prawo.

Matka nasza, dodał Juljan po chwili, mając inne obowiązki, poszedłszy drugi raz za mąż, zmuszona oddzielić się od dzieci, zdała nas na opiekę najlepszego ale najślabszego z ludzi... Ten nas wypieścił tylko... Wiesz, że nie byłem w szkołach, że nigdy nie zakosztowałem tego życia rówieśniczego, na wspólną z garścią młodzieży przedstawiającą próbkę przyszłego świata, aż dopiero gdy stryj oddał mnie wprost do uniwersytetu, posyłając mnie tam z kucharzem, dwoma guwernerami, marszałkiem dworu, powozem i całym tłumem nianiek mających czuwać nad wygodami jednego dziecięcia!... Gdyś mnie poznał, już po części byłem takim jak dziś jestem; na chwilę śmiech wasz trochę mnie poprawił — ale już się kryć musiałem tylko, bo się odmienić nie mogłem.

Powróciłem do domu zaczerpnąwszy nieco życia, więcej orzeźwiony przez ludzi z którymi się spotkałem, niżeli nauką, która mi nie była obcą, którą chwyciłem łatwo i pojąłem prędzej od innych. Gdyście się wygotowali na niepewne z losami walki, ja szedłem do zaciśzy domowej, widząc od razu przed sobą co przedemną

leży w przyszłości... i zawczasu przeczuwając gorycze, tam gdzie wy upajaliście się nadziejami... Nie miałem i nie mam sił do żadnej walki; kaleka, zesłabły muszę siedzieć za piecem, żeby od chłodu nie umrzeć... A! zadrzasknę ci twej burki i wesolej twarzy, kochany Aleksy...

Zdała patrząc na mnie, powiesz sobie... szczęśliwy! ale zajrzawszy do głębi!!... Mam pozór pana, mam dostatek, mam imię, a nie jestem i nie mogę być szczęśliwy i czuję się do niczego niezdatnym.

— To wina wychowania, rzekł Aleksy — ale zdaje mi się, że pracą wybrnąć możesz z tego...

— Duchem podnieść się potrafię, ale kto mi da nową suknię, inne ciało, siły, narzędzia czynu, wytrwałość, energię, odwagę i ufność w siebie, której mi braknie?

— Zdobędziesz i to wytrwałą pracą, kochany Julianie, rzekł Aleksy z uczuciem, i zasmakujesz w życiu, bylebyś ze złożonymi nie pozostał rękami, litując się nad sobą, wzdychając i nie począc nie śmiejąc...

— Tak, wszystkoby to było możliwem, odparł Julian, ale ja nie jestem panem siebie, tysiące okoliczności mnie kępuje i przykuwa... Jestem głową biednej mojej rodziny, mam obowiązki względem świata z którym wiąże mnie odwieczne stosunki, formę i habit zakonu mojego przywdziewać muszę... ani uciec, ani się odrodzić nie mogę. Posłuchaj... Stryj, który nas wychował, jak tylko njrzał mnie dorosłym, cały ciężar zrzucił na mnie; mam siostrę, mam brata... Tu Julian westchnął smutnie. — Sam będąc nie zważałbym na nie; zmieniając tryb życia pociągnąłbym ich za sobą, a ich przyszłością rozporządzać nie mam prawa, muszę ją drogą tradycji rodowych prowadzić... Jestem i zgine panem! Tymczasem ten dostatek który widzisz, więcej jest po-

zorny niż prawdziwy; mam żyć z czego wygodnie, ale przyszłość straszna! oszczędnością, poświęceniem czasu na mnogie interesa i nieskończone drobnostki, okupywać ją muszę, nudzę się, męczę, stękam i przykuty do ta-  
czki wlokę za sobą ciężar nieznośny... z którego mi bu-  
dują wiezienie. W przyszłości, dla ocalenia imienia, dla  
oswobodzenia się od długów, czeka mnie małżeństwo  
obrachowane z jaką dziedziczką potrzebnego miljona i  
życie w tej niewoli... do końca!! Oto masz obraz zło-  
conej nedzy tego, któremuś może pozazdrościł w duchu.

Aleksy się zamyślił i ściskając rękę przyjaciela, nie-  
rychło odezwał się, zwracając na niego oczy pełne wy-  
razu i ognia.

— Oba więc równie niewolnikami jesteśmy i nieszcze-  
śliwymi, ale z dwojga kto wie czyj los lepszy jeszcze...  
Ja walczę, alem zbrojny i gotowy do boju — ale się  
niczego nie lękam, ciało i dusze mam zabartowaną;  
owszem, jakieś doznaję przyjemności łamiąc się z lo-  
sem i wydobywając z pod gniotących brzemion niedo-  
statku... Zresztą i jam niewolnik i dla mnie nic nie  
obiecuje przyszłość prócz pracy. Ty wśród twojego ży-  
cia masz czas duchem się podnieść i umysł twój kształ-  
cić: ja z pługu wyprzeżony jak wół, padam wołając  
spoczynku... Inne, marzyłem życie dopóki miałem ojca,  
co nasz zagon uprawiał i puścił mnie w świat szukać  
tego, co ludzie dawniej losem i szczęściem nazywali;  
uczyłem się, pragnąłem coś zdobyć nauką, zbudować  
sobie przyszłość... wszystko spełzło i niszczało... Osta-  
tniego roku, po powrocie moim doł domu, przyszła  
wkrótce żaloba... umarł poczciwy stary ojciec wdycha-  
jąc do spoczynku, na który zapracował sześćdziesięcią  
latami nieustannego i najniewdzięczniejszego znoju...



Została matka i trzech młodszych braci... a ja najstarszym, i za los ich odpowiedzialnym, a na nas wszystkich trzech chłopków w Żerbach i kawał ziemi z ciężarami... Musiałem się wyrzec drogi którą iść miałem, i poświęcić się rodzinie, aby z głodu nie zmarła, aby jej nie wyrzucono z ojcowskiej zagrody na gościniec, jak żebraków. Z początku targąłem więzy moje, niecierpliwiłem się, narzekałem, dziś ujeżdżony ciągnę pług jak dobry wół, któremu już jarzmo karku natarło. A przyszłość?... widzę ja zardzewienie, upadek ducha, posłubienie rzeczywistości... nie więcej.

Aleksy mówił i podniósł głowę kończąc te wyrazy.

— Ale nie godzi mi się, dodał, narzekać... żaden z nas nie dostał w kolebce przywileju na szczęście, wszyscyśmy dziećmi jednych przeznaczeń i doli, schyliły głowę i pracujemy ochotczo, abyśmy wysłużyli sobie zapłatę na innym świecie. Nie pytają nas co by nam lepiej, milej, łatwiej robić było, i słusznie: praca wybrana nie byłaby pracą ale zabawką, poświęcenie przestałoby być ofiarą; życie straciłoby wartość swą przygotowawczą i nagroda walki dostałaby się nam niesłusznie; naszą rzeczą nie dać sobie upaść na duchu, nie skałać się, nie zezwierzęcić, i dojść do mety choć skrwawionym, ale nie splamionym!

Juljanowi oczy zabłyśły także.

— Masz słuszność, rzekł z zapąłem, mówisz tak pięknie. że i we mnie bije serce, a taki człowiek jak ty, bądź co bądź upaść, cofnąć się, zardzewieć nie może...

— Cha! cha! rozśmiał się Aleksy... tobie interesa, mnie ręczna prawie praca nie daje swobodnie pomyśleć nad sobą... Koń okulał, ruszaj do stajni panie magistrze; krowa zachorowała, chłopok się upił i pobił, nierogaci-



zna w szkodę weszła, rzuć książkę i w pole... Innym razem stój na słońcu lub na skwarze. a gdy późną nocą powrócisz do domu, toć ci potrzeba pozapisywać coś robił. rozdysponować na jutro, dać ciału spocząć... i myśl musi wygnana siedzieć za drzwiami.

— Nie lepiej i ze mną, odpowiedział Julian — całymi dniami bawić po francusku szczebioczących gości, którzy mnie uszczęśliwiają donosząc o kartach, o miłostkach i o uowych ekwipażach swoich: spierać się z plenipotentami czyhającymi na twe lenistwo. rachować. prawić komplementa, jeździć z wizytami, chorować, stękać i nudzić się... oto moja dola. Dodaj do niej brak siły. brak męstwa, wiekuiłą obawę ruiny, upadku i przerażającego ubóstwa, a uznasz, że nie mamy sobie czego zazdrościć. A! nie takie! nie takie marzyliśmy życie!!

— Pamiętasz Julianie, weselej przerwał Aleksy, tyś miał pracować jako dyplomata i roileś, że sumieniem i prawością świat. ludzi i państwa rządzić będziesz... nowe żywioły wprowadzając do zastarzałych tradycji, opartych na przebiegłości i rozumie... Oprócz tego, chciało ci się Włoch, cieplejszego uieba, podróży i czar-nookich Hiszpaunek...

— A tobie! a tobie Aleksy! pamiętasz tego wieczora na bulwarach, gdyśmy do północy durzyli się wzajemnie, opowiadając sobie nasze projekta... jak się chciało wszystko być winnym swej pracy, dźwignąć się sumieniem; jak wierzyłeś w to, że nie ma czegobys nie zdobył wolą potężną? Miałeś, jak dziś pamiętam, zarazem stać się możnym, sławnym i w dodatku poślubić zaraz ideał, który. jeśli mnie pamięć nie zwodzi, wyglądał bardzo arystokratycznie...

— Twój, bo zawsze kochany Julianie, strasznie był demokratyczny, odparł Aleksy. Gdy ja oczyma blądza po oknach, szukałem w nich czarnych oczów mojej boh-danki, do którejbym się tylko mógł modlić, jak do gwiazdy mego przeznaczenia, ty wolałeś szukać po zie-mi maleńkich owych istotek, uśmiechniętych, figlarnych, wesołych, z zadartemi noskami i buzią różową... które cie za chwycaly.

— I zachwycają, rozśmiał się Julian... mój ideał śniać mi się i śpiewać powinien jak ptaszyna...

— A mój... to coś naksztalt Beatrix Dant'a... A! moi Boże, dodał Aleksy — godziż mi się powracającemu z jarmarczku, wspominać imię nieśmiertelnego wieszczu-asty, które tylko co z chłopami się o skóry i zbożo spierały!! Mnie mówić o ideałach! mnie! Usta maro... ideałem moim zapłacić podatek i uniknąć administracj... precz pokusy!! precz!!

#### IV.

Rozmowa, jak to bywa między starymi przyjaciółmi, którzy się nie widzieli długo, przeskakiwała tak na najrozmaitsze przedmioty; Julian i Aleksy zarówno po-trzebowali tego wylania duszy, podziału życia, które mu odejmuje ciężaru. Jednak pierwszy był szczerzym, drugi, jak wstydliwą ranę, ukrywał ubóstwo swoje i więcej się kazał domyślać, niż spowiadał...

— Tego ci darować nie mogę, rzekł Julian, kładnąc się w łóżko wygodnie i zapalając nocną lampkę podró-żną — że aniś pomyślał o mnie, zamieszkawszy w Żer-bach... chociaż tłumaczyłeś mi się z tego, przyznam ci się jednak, że dobrze nie pojmuje przyczyny. Miał-

żeby być śmiesznym jakimś demokratą, który wszystkich majątniejszych uważa za osobistych nieprzyjaciół i przesądom kasty poświęca nawet uczucia serca?

— Za takiego mnie mieć nie możesz, odparł Aleksy, — znasz mnie trochę; nie posądzisz mnie także o dumę, u ciebiebym zresztą upokorzenia się nie spodziewał; ale w mojem przekonaniu, wszelkie stosunki ściślejsze powinny się zawierać z wielką na ich skutki bacznością. Praktyka życia cała na tem; kto się rzuca w objęcia wszystkich bez wyboru, przygotowuje sobie cierpienia i zawady. Miłoby mi było czasem pojechać do Karlina, przepędzić wieczór z tobą, ale zważ, do czego to prowadzi... do rozmarzenia, do rozpieszczenia, do zmiękczenia. gdy ja i tak całych sił charakteru potrzebuję, żeby się na stanowisku obowiązków moich utrzymać. Nie przerywaj mi, pozwól się wytłumaczyć.

— Mówiłeś już raz to, zawołał Julian. ale cię nie rozumiem.

— Posłuchaj, pojmiesz mnie, kochany Julianie; nasze położenie towarzyskie oddala nas od siebie... ja muszę nie pisać się w górę, ale trzymać na dole, żeby mi się głowa nie zawróciła, żebym nie tęsknił i nie płakał. Każde wyjście moje w świat weselszy, swobodniejszy, bliższy tego, do którego wiodła mnie chęć wzniesienia się umysłowego, zakrwawia serce i siły odbiera. U ciebie znalazłbym książki, na których czytanie nie mam czasu: zahartowany, nauczyłbym się wygódek, do których przywykać nie powinienem; zresztą, Bogiem a prawdą... kiedy już powiedzieć ci trzeba wszystko, spotkałbym może ludzi, którzy nie tak jak ty by mnie przyjęli... a stosunki nasze wyciągnęłyby mnie na wydatki acz drobne, ale dla mnie niepodobne... Nie pytaj więcej... spo-

wiadać mi się ciężko.

— Jest może trochę prawdy w tem co mówisz, odezwał się Julian po nanyśle, ale ogromnie przesadzasz... Naprzód stosunki nasze nicby cie kosztować nie mogły.

— A czas?

— Nie maszże chwil wytchnienia?

— Prawie nie mam... ty nie wiesz, co to małe gospodarstwo, w którem sam pan wszystkich zastępuje oficjalistów.

— Powtóre, mówił Julian, u mniebyś pewnie nie spotkał nikogo, coby śmiał nieposzanować przyjaciela mego.

— Ale wejrzenia! ale pół słowa... ale ta zimna wasza zabijająca grzeczność.

— Jesteś uprzedzony, kochany Aleksy; mikt nad nas nie jest łagodniejszym i w codziennych stosunkach łatwiejszym; kto się szanuje, tego szanują wszyscy...

— Zresztą, dodał Aleksy, chcąc urwać rozmowę, powiedziałem sobie rozpoczynając życie, że je poprowadzę drogą, jaką mi wskażą obowiązki, a nie pozwolę sobie żadnej słabości. Jestem przekonany, że stosunki ludzi, których los daleko od siebie w oddzielnych postawił szrankach, muszą być dla nich ciężarem i są groźbą dla ich przyszłości. Przyjaźń nawet i uczucia serca, nie są w stanie zwalić przepaści, jaką ich dzieli urodzenie, wychowanie, pojęcie, obyczaje...

— Za kogoż ty mnie masz? ofuknął się Julian, na wpół żartem, wpół serjo.

— Za najlepszego z ludzi, rzekł Aleksy, ale za najslabszego... za najpoczeiwsze z dzieci arystokracji, do której należysz ciałem, duszą, życiem i słabością swoją.

— A! na co mnie tak rozpieszczono, przerwał Julian.

na co ze mnie zrobiono na całe życie bojaźliwe dziecko tylko! To mnie czyni w oczach twoich niegodnym nawet przyjaźni, której łaknę, bo bym w jej wodach obmyty zmęźniał może i orzeźwiał!

— Dzięki ci Juljanie... ale co dzień mniej się będziemy rozumieć; dziś jeszcze jest węzeł świeży, co nas łączy, ale każda chwila rozplątywać go będzie powoli, i przyjdzie godziua, w której ja ciebie, a ty mnie ruszeniem ramion powitasz... Nie maszże nikogo pomiędzy rówieśnikami, z kimbyś mógł żyć jak z bratem?...

— Jest ich wielu i bardzo pocziwych — smutnie jakoś odpowiedział Juljan, ale dla tego właśnie, że to są ludzie mojego świata, ludzie jak ja słabi, oprzeć się na nich nie mogę. Myślisz, że ja nie czuję i nie znam choroby całego plemienia, do którego należę? Myślisz się mój Aleksy... Dziś my niedobitkami tylko jesteśmy pułku, który wiódł niegdyś do zdobycia cywilizacji i przewodniczył w szeregach, pierwszy krew przelewając za nią; aleśmy zapomnieli i podan, które wiodły jak gwiazda i przerodzili się w beczynne istoty, których żywota celem użycie, spokój, próżnowanie... Krwią zapracowane mienie, ogłada nabyta, wszystko nam na złe poszło: jedno i drugie pokolenie zwichnęło kierunek całej klasy, która nie może być nieużyteczna narością, mnsi i powinna być żywym organem społeczności. Tymczasem staliśmy się anomalią, nienżytkiem, ludźmi bez znaczenia i przeznaczenia innego nad smakowanie żywota... To ja dobrze, jak ty rozumiem... i boleję nad tem. Krzyki na arystokrację, z których się śmiejemy wszyscy, gdy z ust papuzich energumenów lecą, mają przecie i przyczynę i znaczenie; ci ichność nie skomponowali ich sami, powtarzają; ale tkwi w nich zarzut słuszny, — z

rycerzy, z zakonników, z wysłańców, z ofiarników, staliśmy się martwą częścią towarzystwa, dogorywającą gnuśnie. Zbytek i miękość dobijają nas wyziewami, które, jak zapach kwiatów, usypiają, durzą, zaczadzają i morzą.

— Najzupełniejszą masz słuszność, przerwał Aleksy, ale znając tak doskonale chorobę, czy nie znajdziesz na nią lekarstwa?

— To co wieki zrobiły, tego ani jeden człowiek, ani jedna chwila zmienić nie może; warunki zmieniły się w koło, zmieniają się i pozostałości umarłych wieków, i my się odrodzimy, ale nie łatwo, ale nie prędko... Dziś zabija nas bezsilność, rozpieszczenie, zbytki i brak celu w życiu.

— Tak jest, odezwał się Aleksy... ale cel łatwobyście zobaczyli, gdybyście pracować chcieli...

— Nie przywykliśmy do pracy... używamy, i jak nałogowy pijak, konamy od trunku, nie umiając się wstrzymać od picia...

— Cel dawny tych, co wiedli zastępy na dalekie boje, co krew przelewali walcząc z dziczą, inny był całkiem; zmieniły się warunki, świat, wszystko; dziś inne podboje naglą i wybyście ku nim prowadzić powinni. Są to zdobycze ducha. krainy wiedzy, a nadewszystko przeprowadzenie do czynu tej moralności chrześcijańskiej, której martwą literą dziko posługujemy się, zakrywając nią od zarzutów pogaństwa, w którego żyjemy błędach. Każda warstwa ludu ma przeznaczenie, każda ma rolę jakiegoś kółka w mechanizmie społecznej; wyście dziś bezużyteczną jej częścią, z pięknego wyrobiona kruszcu, ale bezwładną i potrzebą...

— I ja to tak jak ty pojmuję, rzekł Julian, ale

namże być apostołem? Spojrz na mnie: gdzie siły do rozpoczęcia życia nowego? Wreszcie, my, cośmy szli przodem, musielibyśmy iść dzisiaj prostymi szeregowcami, dorabiając się szlifów, które, wedle pojęć naszych, dziełnictwem się nam należą. Na wodzów mieliśmy dosyć siły i zręczności, na prostych żołnierzach jeszcze za mało ofiarności mamy...

Westchnęli oba.

— Wiesz co Aleksy, rozśmiał się Juljan, nowe zapalając cygaro, — górno-lotna rozmowa nasza przypomina mi strasznie nasze lata uniwersyteckie, kiedyśmy to za stołem, przy szklance herbaty, świat przerabiali na nowo i przeskakiwali z ziemi do nieba równymi nogami... zaczepiając najważniejsze zagadnienia towarzyskie i religijne... a! dobre to były czasy!

- Dobre, i nie wróćą się nigdy...
- A pamiętasz Piotra?
- A przypominasz sobie Ignacego?
- Co się stało z ładną Manią?
- A! jak nieładnie zestarzała!
- A profesorowa Z... — Umarła!
- A szanowny nasz Capelli?
- A nieoszaczowany J..... a K.....!

Sypnęły się wspomnienia, śmiech młody wzleciał na usta, zapomnieli o zmęczeniu, o potrzebie snu, o różnicy położenia, o wielkich zagadkach, które tak gorliwie rozwiązywali przed chwilą, z poważnych ludzi stali się dziećmi, a trwało to dopóki jakieś niepotrzebne wspomnienie nie sprowadziło ich na ziemię...

— A! rzekł Juljan, każdy z nas dźwiga na ramionach brzemień życia... szczęśliwy, komu Bóg dał siłę...

— Wiele siły lub uczucia mało...! Ale jedna się na-



bywa, drugie utracą powoli, *e sempre bene*; przecież nam nikt nie obiecywał raję, gdyśmy rozpoczynali płaczem pielgrzymkę naszą... ostrzegali nas wszyscy, że nie pójdziemy po różach!

Na te słowa wbiegł nagle, na pół ubrany, służący pana Juljana i nastraszył podróżnych zbladłą twarzą i pospiechem, z jakim wleciał...

## V.

Juljan widząc wbiegającego służącego, zerwał się z łóżka zbladły, chwytając za piersi, pod którą bledne serce jego wstrząśnione żywo, przykro bić zaczęło, oczy zwrócił na Sawę i przeczuwając coś niezwyczajnego, oczekiwał tylko co nań spadnie.

W istocie, nieroztropny młody sługa mógł być najśmielszego nastraszyć, tak wpadł nagle z twarzą wywróconą, z oczyma palającemi, widocznie pilno potrzebując jakąś złą wiadomość udzielić swemu panu. Jakkolwiek więcej ostrzelany Aleksy, któremu na myśl przyszedł pożar, zerwał się równemi nogami i narzuciwszy burkę na ramiona, gotował do wstania. Sługa zaś wpadłszy i dopiero w progu drugiej izby pomiarkowałszy się, że postraszył paniczą i nieznanego pana, zaciął się, za późno wyrozumiawszy, począł z głową spuszczoną mruczeć coś niezrozumiałego.

— Co się stało! co to jest? zawolał Juljan...

— To, proszę pana... z Karlina!

— Z Karlina! schwycił się Juljan... Kto! jak! cóż się tam stać mogło?

— To się jeszcze nie nic stało, proszę pana, rzekł Sawka... — ale gadają, że ktoś zachorował?...



— Któż to jest z Karlina? gadaj a prędzej?

— To. proszę pana... my z Hryćkiem stali ta se fajki palili na wrotach... a tu...

— Ale mówże prędzej, — niecierpliwiąc się począł Julian, którego oczy błysły.

— A tu... patryzyn... rycht siwy i majaczeje na bidce, jakby Samojło od folwarcznych koni, a macha traktem. Tak ja na niego w krzyk, zastanowił się i powiada, że jedzie po doktora do miasteczka...

— Któż zachorował? przerwał Julian, ale któż? mówże?

— To proszę pana, wczoraj słyszę stara pani przyjechała jak nas nie było... i gadają. że mocno zasłabła...

— Moja matka! moja matka! zaprzęgać konie, zawołał... pakować... Samojło niech spieszy...

W pierwszej chwili chwycony nczuciem Julian, wyrwał się z łóżka, ale zaraz dreszcz go pochwycił. zimniejsze powietrze objęło go nieprzyjemnie, i spojrzał w okno. przez które czarna noc wyglądała, z flagą deszczową, z wichrem i burzą: Aleksy już był na nogach.

— I ty wstajesz? spytał Julian...

— Nie wiem, czy się na Samojłę twego spuścić możesz. odpowiedział towarzysz; przytem doktor Greber może być zajęty, może go szukać przyjdzie, każe zaprzęgać konie i lece sam po niego...

— A! jakiś ty pocziwy! jakiś ty nieoszacowany! nie sniałem cię prosić tylko, aleś zgadł żądanie mego serca...

— zawołał Julian... — przepraszam cię... i serdecznie dziękuję...

Nim Sawa pozbierał rzeczy swego pana i przygotował mu ubranie, Aleksy oblawszy się wodą zimną, strzepnąwszy w mgnieniu oka był odziany. wybiegł do

stajni, rozbudził Parfena, pomógł mu założyć konie. a sam na pożegnanie tylko przyszedł do Juliana.

— Co mam zrobić z Greberem. zapytał, podając rękę powoli ubierającemu się smutnemu towarzyszkowi. którego twarz zbladła i ręce drżące zdradzały osłabienie po nocy bezsennej i niespodzianem wzruszeniu.

— Weź konie pocztowe i przywoź go do Karlina... zawołał Julian, a prędzej. Zrób co zechcesz zresztą, byłbyś przywiózł doktora. Matka moja nie ma ufności tylko w Greberze, choć ja go, szczerze powiedziawszy, nie lubię... wyszukaj go i przybywaj... ja cię poprzędzę... Co za los szczęśliwy, żeśmy się spotkali... do zobaczenia... do zobaczenia...

Ale i ty sam możesz potrzebować doktora, przerwał Aleksy z współczuciem, widząc Juliana drżącym i zeszłym prawie.

— Nie to, nie mi — uśmiechnął się Julian — nerwy kobiece... najmniejsza rzecz z nóg mnie obala, ale chwila spoczynku podnosi... nie obawiaj się o mnie... Wprawdzie podróż po nocy, po tych drogach, w taką porę. ciężka dla mnie będzie, ale tak jestem niespokojny o matkę!

Nie tracąc czasu na dłuższe pożegnanie, Aleksy, którego wózek stał już zaprzężony w sieniach, obwinął się burką, zapalił krótką węgierską fajeczkę, od której zapachu zakaszał się Julian, i rozkazał pędzić do miasteczka... Gościńcem pocztowym było do niego werst kilka tylko, ale jedna niepocziwa grobelka, a dalej rozmokłe piaski i gliny. Parfen zaciął mierzyny, które nie przywykłe do bicia, z góry uniosły prawie i jak piłkę powlokły za sobą lekka bryczkę. Z pełną zburzonych wspomnień myśli głową, Aleksy jechał zamysłony i smutny.

— Wczoraj jeszcze, tak byłem już spokojny, tak zrezygnowany, tak prawie głupio szczęśliwy; dziś! potrzeba takiego trafu, żebym na drodze mojej spotkał Juliana, żeby we mnie wszystko zamarle odżywiła ta rozmowa. Drobną na pozór okoliczność, a nie swój będę długo... tyle żalów podniosły głowy! tyle pogrzebanych powstało nadziei! Biedni my ludzie! Nie! nie pojedę do Karlina, musiałbym się rozbalamucić, rozpróżnować, a nie mam na to czasu! Doktora Grebera wyprawię, a sam pospieszę do domu; nie jestem im tam potrzebnym...

A! co się zrobiło z Julianem! biedny Julian! jakie to słabe, dobre, a do niczego!

Tak marząc, ani się postrzegł Aleksy, jak stanął w miasteczku i przesunawszy się po ciemku przez błotniste ulice, zatrzymał się u bramy dworku, w którym mieszkał, znajomy mu z daleka, doktor Greber. Samojło, który za nim jeździł swoją biedką, podjął się dostknąć do zapartych wrót, po za któremi cała zgraja psów szczekliwych, zbudzonych hałasem, wściekle njadać zaczęła. Na wschodzie ledwie świtać zaczynało, chmury osłaniały całe niebo, a deszcz lał w najlepsze. Aleksy cierpliwie czekał, żeby się przed nim brama, lub choć furtka otworzyła, ale w dworku znać wszyscy spali jak zabici.

Nareszcie coś się zarnszało w ganku, w pomroce postać jakaś zbliżyła się do furtki i Aleksy postrzegł służącego w kożuszku, który kłując przyjezdnych, wpuszczał do środka młodego człowieka.

Jest doktor w domu?

A jest! ale niedawno powrócił!

O więcej nie pytając, wbiegł do sieni Aleksy i kazał się prowadzić do Grebera. Wzdragając się służący, po

małej bryczce i parze koników nie bardzo zamożnego domyślając się pacjenta, ale zasłyszawszy o Karlinie, otworzył drzwi sypialni, w której pan doktor spoczywał.

Greber nie tail się z tem, że pochodził z rodu izraelskiego, którego wiary, błędów i stroju wyrzekał się zupełnie; ochrzczony i ogolony, chodził we fraku, jadł szynkę, o szabasie zapomniiał, ale natura odzywała się w nim, przebijając tę powierzchowną skorupę chrześcijaństwa, którą przywdział tylko dla interesu i wygody. W rzeczy samej, pan Greber nie miał żadnej wiary, choć wszystkie szanował; sprytny, nadewszystko praktyczny i umiejący się obchodzić z ludźmi, ze sztuki swej korzystał i widział w niej tylko kawałek chleba.

Grał taką rolę, jaką mu odgrywać wypadało, pochlebiał, nkladał się, przymilał pacjentom, a śmiał się z nich wyszedłszy za drzwi. Umiał mówić o wysokości swego powołania, o posłannictwie lekarza, o ważności jego stanowiska, ale w sobie powodował się tylko rachunkiem i grosz robił wszelkiemi sposobami. Pomimo tej żyłki spekulacyjnej, na której niepodobna, aby się ludzie poznać nie mieli, Greber wszędzie znajdował zwolenników i powszechnie był wzięty. Naprzód, służyło mu szczęście; powtóre, szczęśliwy lub nie, tak się umiał przypodobać, tak nigdy nie sprzeciwiał się nikomu, tak każdemu pozwalał na to chorować na co chciał, kurując go po cichu na to co widział, tak był uległy i posłuszny w wyborze metody, tak miły w towarzystwie, że się go odkochać nie mogli. Nadewszystko jednał sobie tem serca, że o medycynie słuchał rozprawiających, z niezmaconą niczem powagą. Lubił kto pigułki, doktor Greber zachwalał je nad wszystkie sposoby preparowania i silnie za nimi argumentował: proszki, dawał pro-

szki, miksture to miksturę; chciał się kto u niego leczyć homeopatycznie, miał apteczkę pod ręką i wiele pięknych dowodzeń na stronę nowej metody; Prismoitzem nie gardził, Leroy przyjmował, Miniajewa nie ganił. Morissona tolerował, Raspail'a dozwalał; słowem, kurował jak się komu podobało, nawet magnetyzmem i babскими lekarsztwami, w potrzebie tłumacząc je prastarą tradycją. A jaki był grzeczny! a jak łagodny! a jak pocieszający! Człowiekowi co nie ma serca. najłatwiej podobno być zawsze serdecznym: nic go nie poruszy, nic nie wstrząśnie, nic nie pozbawi pogody umysłu, której potrzeba by jakąś odegrać rolę. Lzy też nigdy nie zatamowały głosu doktorowi Greber u łóża konających, śmiał się i żartował zawsze, pocieszał na kwadrans przed skonaniem, i od nieboszczyka wprost szedł do śniadania, by nabrać sił nowych do pracy. Żaden pacjent nie mógł się na niego poskarżyć o surowe obejście; zwłaszcza z bogатыmi tak umiał sobie postępować, tak był pełen troskliwości i pieczy, że mu nawet jego nieco żydowski akcent i bardzo izraelską wybaczano fizjognomję, zowiąc go powszechnie — dobrym Greberem!

Dobry Greber był niepospolicie rozumny; nauki miał niewiele, ale zręczność nieporównaną i umiejętność przedstawienia siebie taką, że uchodził za co chciał, nawet za niezmiernie uczzonego.

Jedną z głównych jego metod popisywania się, było — zawsze materje obce przytomnym wyprowadzać na scenę, z lekarzami nie mówił o medycynie, z literatami nie zaczynał literatury i tym podobnie; rzucił garściami słowa niezrozumiałe, uśmiechał się tajemniczo, sypał wzmiankami brzmiącemi o rzeczach nieznanym słuchaczom i wzbudzał w nich naturalnie podziwienie i cześć

dla siebie. Z towarzyszami żył w zgodzie najlepszej, na konsultacjach choć go było do rany przyłożyć, ale gdy się lekarze rozeszli, półgębkiem ich chwalać, doradzał zawsze coś innego w wielkim sekrecie.

Był to człowiek nad wszystko, jak widzimy, zręczny, a że ten przyniot zastępuje wiele innych i dogodniejszy jest od nich, dobrze mu się działo wcale. Gdyby nie pochodzenie, byłby się dawno i świetnie ożenił, ale że tracił żydem, a ubogo nie myślał się swatać, dotąd więc żył jeszcze w nadziejach i swobodzie młodzieńczej, choć czterdziestówki dobiegał. Czekał na wypadek jaki (medycyna czasem zetknięcie się z niemi ułatwia), aby się świetnie i bogato ożenić.

Aleksy zastał go w łóżeczku skromnem, skulonego i smaczno zasypiającego; przebudzony, uimi rozpoznał kogo ma honor witać. kilka razy upadł do nóg i nasy-pał dobrodziejów bez liku... Ale poznawszy po głosie pana Drabickiego, stał się ponfalszy i ziewał już skarżąc się na osłabienie i zmęczenie, gdy Aleksy zawołał, że pilno potrzebują go do Karlina.

— A! do Karlina! zrywając się i zrzucając szlafmyce poczał doktor — a! do Karlina! jade, jade! a któż tam chory? a pan że zna się z nim?

— Znam tylko Juljana, z którym kolegowaliśmy w uniwersytecie... stara podobno matka jego zachorowała.

— Matka? ale ona tam nie mieszka?...

— Nic tego nie wiem... dosyć że jest w Karlime i chora.

— Posyłaj pan po konie pocztowe i jedźmy...

— Natychmiast... ale pan sam pojedziesz... ja spieszę do domu.

Doktor spojrział z ukosa na Aleksego.

— A! nie chcesz pan jechać do Karlina!... Ale... to do woli... zrobię tylko uwagę, że stara jeśli chora, to może słabość być groźna... dawno postrzegałem usposobienie chorobliwe... może być potrzeba kogoś czynnego, pan Julian nie da sobie rady... jako przyjaciel...

— Chcesz pan żebym jechał?

— Chcę? nie... ale życzylbym, trudno przewidzieć co się gotuje... a pan Julian... najlepszy z ludzi, anioł! ale potrzebuje, musi potrzebować pomocy... Jesteś pan jego przyjacielem?

Aleksy się zmieszał, fałszywy wstyd go ogarnął, nie śmiał się przyznać, że dotąd nie był w Karlinie, pomyślał przytem, że się przydać może... i nic nie odpowiedział. Przeznaczenie jakieś gnało go do Karlina.

Nim doktor się ubrał i herbatę nastawiono, bez której na słotę nie chciał się narażać, Aleksy usiadł w krześle i nie wiele zważając na Grebera, który nań także nie bardzo zwracał uwagę, zadumał się głęboko. Od dawna już tak smutne nie opadały go myśli, czuł się jakby w przededniu ważnego jakiegoś wypadku, niepokoił sam nie wiedząc czem, wyrzucał sobie, że dla cudzej matki o swojej zapomniał, gryzł się odstępstwem od planu życia jaki sobie zakreślił. Greber ubierając się, poglądał nań z ukosa, ale mimo swej przenikliwości, nic nie zrozumiał, i uznał to po prostu zmęczeniem.

Zaprawdę, dziwy częstokroć duch nasz poczyną sobie z nami, milczy, odzywa się, usypia, budzi, opanowyywa, zamiera gdy się najmniej spodziewamy tego. W tej ciągłej walce z ciałem, w której on mu ulegać musi, nagle, niespodzianie dźwignie się czasem potężnie i głosem proroka przemówi do zdziwionego ucha. Łada co go przebudza z nspienia, oko ludzkie, łada słowo, myśl,



która lecać zaszeleściła w nchu obojętnem, uczucie, które podniosło z sobą stare zaskrzeple wspomnienie... czasem powiew powietrza, pieśń, szept, chimra przelatująca nad głowami naszymi... Natychmiast olbrzymieje człowiek, upaja się duchem zwyciężkim i czuje jak wyrósł w oka mgnieniu... a porównując się do wczorajszego. z trudem poznaje siebie... Taki skutek wywarła nocna rozmowa na Aleksego, który na wpół nią jeszcze pijany, marzył, myślał, hołał, nie pojmując, by jedno przypadkowe spotkanie w karczmie mogło tak w nim rozbudzić to, co ukołysał pracą i wolą siłą. Znowu żal dogryzał mu, czuł się upokorzonym, przybitym, nieszczęśliwym i wciagnionym trafem w sferę, od której zaprzysiągł był sobie stronić...

— Pij pan herbatę i jedźmy, odezwał się doktor Greber, zaczesując przed zwierciadłem włosy i zlewając się jakąś wonią podejrzaną... dzień biały i spieszyć potrzeba... Aleksy wychylił ukrop napredee, siedli i konie pocztowe szybko ich poniosły.

## VI.

Karlin, — starodawna siedziba rodziny Karlińskich, która niegdyś posiadała ogromne dobra udzielne stanowiące kniaziostwo — pełen był mchem obrosłych i zabitych paniątek przeszłości. W naszym kraju mało już pozostało do dziś dnia tych ruin poświęconych, któreby żywo przypominały wypadki drgające jeszcze na kartach historii. Ledwie się dopytasz wioski, grodn, mogiły, jaśniejących w dziejach światłem niezgasłym do dziś dnia. Najwięcej ruin i siedlisk sięgają XVII i XVIII wieku, z XVI są rzadkie, a XV rzadsze jeszcze: starsze już



opustoszały i często po puszczech zarosłe lasem zamczyska i mogiły świadczą tylko, że się do nowych ognisk życie z nich wyniosło. Wyjątkowo przetrwały gdzieś niegdzie mury, okopy i siola pra-stare; jedne tylko domy Boże na odwiecznych sterczą uroczyskach; pańskie gródki i wieśniacze chatki zgmiotła wojna, czas porozrzucił daleko. Czyśmy tak mało szanowali pamiątki, czy niepodobieństwem było utrzymać co palec Boży na zniszczenie wyznaczył, nie wiem; czy grzechy nasze przeszkądziły przejść kamień i w proch obróciły opoki?? na sądzie się chyba ostatecznym dowiemy o tem może.

Karliu był jednym z niezwykłych wyjątków w tej części kraju; szczęśliwsze trafem było od innych to miejsce, a położeniu jego szczęścia tego przypisać nie było można. Dokola pełno było gródków i horodyszcz, na których pasło się bydło i chwasty powiewały, a cegły z nich nie pozostało ni szczątka. Tymczasem w Karlinie przeszłość jeszcze jaśniała wybitnie i poważnie.

Zamczysko, które wspominały już kroniki i akta jako gród stary w XV. wieku, leżało nad rzeczką przepływającą błota obszerne, na pagórku po części przez naturę, w części ręką ludzką usypanym, otaczały jewały w prostokąt rzucone z śladami z baszt po rogach; na jednym nawet z tych kopców wznosiła się wieżyczka z grubego muru sklepioną, dziwnego kształtu, a tak dziś w jedną bryłę zlana, że gdy ją raz rozrznieć chciało za życia starych Karlińskich, oparła się wszelkim usiłowaniom zniszczenia. W pośrodku prostokąta stał niegdys sam zamek, z którego tylko główny korpus pozostał z dwoma po rogach wystającymi basztami, z oknami małemi, z bramą szeroką i dachem dwupiętrowym. Poprawiony w XVI i XVII wieku, co okazywały wnie-

których oknach ciosowe ramy i balasy balkonów, zachował przecie i starszego swego pochodzenia cechy; nawet wiek XVIII, który chętnie na swój kopyt przerabiał wszystko, nie tknął już zgrzybiałego starca. Dobudowano tylko dwa skrzydła w nowym smaku i przesypano całkiem starą bramę wjazdową, która stylem panowania Stanisławowskiego się odznaczała. Wyrzucono z niej brone, most zwodzony skasowano zastępując go murowanym, a balkon dla muzyki zajął miejsce strzelnic, których ledwie ślad dawał się widzieć na bokach. Później jeszcze do tej bramy dosztkowano kawałki, mające ją na malowniczą ruinę przekształcić, poobsadzano wirginią, wijącemi roślinami, hederą i t. p. W tymże czasie środek dziedzińca, gdy bruk wydarto stary, zasiał się trawą pielęgnowaną starannie, w pośród której ko-bierca kupa kwiatów rozkwitała na wiosnę. Dokoła obstawiano trawnik w lecie pomarańczowemi i cytrynowemi drzewami, które przyczyniały się do ożywienia tej strony podwórca ogołoconej z drzew i zieleności.

Z przodu zamczysko to arystokratyczne, niezbyt wyświeżone a jednak utrzymywane starannie, miało pozór smętny ale wspinały; malowało się zaś wybornie na tle gęstych drzew po za murami okrywających urwisko i brzegi rzeki. Z najstarszych czasów było tam tylko kilka lip i świerków; później już w XVII wieku założono szpalery w kondygnacje, aleje strzyżone i wielki ogród włoski; później jeszcze zagęszczono go topolami różnych rodzajów i dosadzono krzewy, tak że się z tego zrobił ładny cienisty ogród angielski, rozległy bardzo, z jednej strony zakończony rzeką opasującą go nieregularną linią swego biegu, z drugiej zabudowaniami dworskimi, tokami i drogą. I tu znać było kilka po-

koleń, które sadiły dla wnuków a budowały dla siebie; była dawna baszta przerobiona na altanę, skarbiec stary, domek chiński z czasów panowania chińszczyzny, i gotycka kapliczka. Budowy te, rozrzucone dziwacznie, dobrze zdobiły i nrozmaicały gęstą zieleń cichego parku, na którego końcu obszerne znajdowały się ciepłarnie.

Nieopodal od zamku, gdyż lud dotąd go tak nazywał, było liche żydowskie miasteczko, żyjące kilka jar-markami do roku i gościńcem, który je przebiegał. Całą jego ozdobą był kościółek drewniany, cerkiew murowana i parę domostw zajezdnych bliższych dworu, do których konie gościnne odsyłano wedle wołyńskiego zwyczaju. Zdaleka Karlin wyglądał wspaniale, a otaczające go mogiły i stare figury kamienne świadczyły, jak wiele już ludzkich pokoleń przeszło przez ten ziemi kawałek.

Nie wiem, może to dziwactwo, ale nie pojmuję Amerykanów, którzy z ochotą biorą się dziewicze zamieszkiwać lasy i trzebić miejsca w których ludzka nie powstała stopa. Dla mnie niema nic smutniejszego nad dziewicze puszcze, bez pamiątek, bez przeszłości, bez mogił i wspomnień; natura zda mi się niepełną bez człowieka, a człowiek smutnym sierotą bez związku z dniem wczorajszym. Zdaje mi się, że na tych starych cmentarzyskach naszych towarzyszą mi duchy ojców, że słysze głosy żywota i w otaczającej śmierci czerpię siły do życia; w dziewiczej pustyni, pierwszy następca po zwierzętach, zmarłbym może z tęsknoty. Wielkiej być potrzeba potęgi charakteru, żeby sobą zaludnić świat całkiem nowy. Karlin był jednym z tych miejsc, w których w całości przechowały się podania przyrastając do materialnych znamion przeszłości. Baszty zamkowe nosiły jeszcze nazwiska: jedno zwano *Turecką*, że ją jeń-

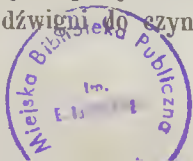
cy budować mieli, drugą nazywano *Kasztelańską*; ogrodowa nazywała się *Wycieczką*; na wałach samych kopiec jeden od wieków zwał się *Wiecowym*, inny *Kniaziowskim*; w ogrodzie lipa jedna znana była pod przezwiskiem *Gospodyni*... Kawały ziemi, uroczyska, przypominały dzieje, których się tylko z ich imion domyślać już było trzeba; nad rzeką w błocie było Horodyszcze, na wzgórkach kawał łomu zwano *Turzycą*, stary cmentarz na mapach i u ludzi *Popielowem*.

Dawniej do tego *fun'lun*, jak widać było z inwentarzów, należało sześćdziesiąt pięć wiosek, miasteczko. i obszerne bardzo lasy; dziś zaledwie pozostały przy nim sześć wsi i sam Karlin podupadły. Też same były losy rodziny co miasteczka; i ona powoli malała, traciła znaczenie, aż zesła na dzisiejszych spadkobierców pięknego imienia, w ciszy wiejskiej dożywających resztek siły pozostałej po olbrzymich protoplastach.

Nie płaczmy nad losami familij; często na dzieci niewinne spada nieodpokutowany grzech rodzicielski, ale najczęściej upadek przychodzi za winą i jest karą tak sprawiedliwą widocznie, że nawet ślepe oczy ludzkie widzą w nim prawicę bożą. Dopóty żywie ród, dopóki bojaźń boża i miłość cnoty mieszka pod dachem jego, póki pracuje i podnosi się cnota; jak skoro zdobywszy mienie, sławę, wziętość, spoczywać chce i gnuśnieć, Opatrzność wyrzywa chwast niepotrzebny by ziemi nie kałał. Patrzejmy na losy rodzin a przekonamy się, że ich upadek zawsze poprzedziła beczynność i zatopienie się w gnuśnym spoczynku lub rozpasanie na występki. Każda klasa społeczności ma swój cel, żadna nie może być pasożytną narością na ciele ludzkości; jesteśmy organami jego, mniej więcej szlachetnymi, pracować

musimy wszyscy. Jak skoro ci, których Bóg przeznaczył na oczy i ręce narodu, na piersi jego i usta, odrębnem chcą żyć żywotem i odmawiają posługi, do której są stworzeni, organ chory, chwilę gorączkową utrzymuje się odrębną egzystencją, ale po tej chwili umiera. Taki był los rodziny Karlińskich, która w dawnych czasach miała zasługi wielkie, wydała dzielnych rycerzy, znakomitych duchownych, mądrych i wymownych dygnitarzy; ale jak skoro znaczenie jej skutkiem związków i bogactwa urosło, mienie się pomnożyło i tradycja pocziwa w sercach umarła, wyrngowana cudzoziemszczyzną, Karlińscy upadać poczęli moralnie, materialnie i zesłi na słabych i bezsilnych potomków. Za Sasów, familja ta sprzyjając Leszczyńskiemu, z którym była spokrewnioną, wyszedłszy obronną ręką z zamętu, w jakim nie mały udział brała, poczęła francuzić na dworze Lnuewillskim, wychowując swą młodzież w Paryżu i powoli stając się zupełnie cudzoziemską.

Młodych Karlińskich posyłano wszystkich na dwór *dobroczynnego filozofa*, niepostrzegając, że wychowanie długie w obcym kraju, czyniło ich po powrocie do domu całkiem niezdatnymi do obowiązków, do których byli powołani. Karlin zmienił się w kolonię francuską, a mieszkańcy jego tęsknili za Francją pod naszym niebem półnoocy. Rozpieszcwszy się, zapomniawszy, że człowiek nie może i nie powinien żyć sam sobie, jak wielu innych i oni poczęli bawić się tylko lub w chwilach społecznku tęsknić za tem, co się dla nich nazywało zabawą. Posłannictwa' swojego zabyli całkiem, a zbiwszy się z drogi już na nią powrócić nie mogli. Bóg dawał im ludzi zdolnych, miłych, pełnych serca, lecz poskapił im *woli*, tej wielkiej dźwigni do czynu, bez której geniusz



nawet wyłonić się nie może. i marnie zginęły talenta, rozum, serce, zużyte na fraszki. W życiu domowem zachowali czystość obyczajów, nie zbrukali się jak inni. Świecili pocziwością nieposzlakowaną, ale żaden z nich nie uczuł się powołanym do życia publicznego, do obrony kraju, do wielkiej ofiary... i źle się z tego tłumacząc to czasem, to okolicznościami, spadli ze stanowiska jakie dawniej zajmowali. Małżeństwa odebrały im część majetności, drugą pochłonał zbytek nienmiejący rachować, resztę zabrali źli ludzie, i z ogromu pozostały biedne resztki, nad któremi dobrze pracować było potrzeba, żeby się przy nich utrzymać.

Ojciec Juljana miał dwóch braci: rozpadły się więc po dziadzie majetności na trzy schody i do reszty zmalały. Nosił on już tylko tytuł chorążycy koronnego, bo sam nie miał żadnego urzędu i do żadnego nie czuł się zdolnym. Gdybyśmy uwierzyć mogli w charakterystykę rodów, jak zwykli kreślić heraldycy nasi, moglibyśmy powiedzieć, że cechą Karlińskich była dobroć ich serca, powolność, łagodność a razem obojętność jakaś na losy. Ostatni lubili zabawę, uczty, swobodne życie, zwłaszcza miejskie, dobry stół, wygodki, kobiety i elegancję, a rajem dla nich była obca ziemia, na którą wyjechać lecieli z uśmiechem, jak na gody spiesząc na wygnanie. Chorążycę spędził tak życie między Paryżem, Florencją, Dreznem i Wiedniem. Kochany, ceniony, nadzwyczaj miły, ale nie nigdy nie przedsięwziawszy, a co gorsza nie domyślając się nawet by coś przedsiębrać było można. Już w nim skutkiem wydelikacenia kilku pokoleń, typ rodowy silny zatarł się zupełnie i przerodził na istotę słabą, nerwową, zużytą, niepojmującą ani walki, ani pracy, ani ofiary z siebie dla wyższego jakiegos



celu. Chorążyc chorował byleby go zawiało, do konia nawet i polowania najmniejszej nie miał ochoty, gwałtownych przyjemności unikał, leczyl się często, a chorował częściej jeszcze... Ale za to był on człowiekiem idealnego wychowania i wytworności, *homme comme il faut*, czciciel formy, grzeczny, pełen dystynkcyi, wielki pan z miny, i choć arystokrata, tak nadzwyczaj poszanować umiejący każdego, że nie miał nieprzyjaciela. Wybaczano mu wszystko dla łagodności charakteru i obyczajów miłych, a gdzie się pokazał był pożądanym gościem. Nie mając nadzwyczajnych darów, z sądem dosyć powierzchownym i płaskim, chorążyc istotnie korzystał wiele ze świata i wyrobił sobie z jego okruszyn niekolącą nikogo w oczy mądrostkę, opinię, uczoność, religję, wszystko czego mu tylko potrzeba było. Jak żyw nigdy nie miał zdania, któreby oburzyło, ukłuło, zdziwić mogło lub zastanowić; ubierał się według mody i myślał podobnie: nowych rzeczy niekoncypował.

Najstarszy z braci, nie rychło się przecie ożenił, nie miał do tego ochoty, nie zakochał się nigdy silnie, choć kobieciarz był wielki, a raczej dla tego, że był kobieciarzem; nareszcie gdy lat trzydzieści przeżył swobodnie, zmiarkował, że wypadało mu pomyśleć o zmianie stanu, a może przypomniał mu to bracia, i postanowił się ożenić. Poswatano mu pannę jedynaczkę, piękną jak anioł, bogatą niezmiernie i miłuchną, a wychowaną jak najstaranniej. Była to córka człowieka, który koło prawa chodząc, z szlachcica niedostatniego stał się panem całą gębą, z domu wcale nie arystokratycznego, ale z innych względów podobała się chorążycowi bardzo, i małżeństwo prędko przyszło do skutku, choć panna podobno nie tak go sobie życzyła.

Uwiozłszy piękną swą ale chmurną Teklinię na wieś, chorążyc w rozkoszach nowego stanu utonął cały; silił się w jej sercu wzbudzić do siebie przywiązanie, bo w miarę jak się o jej obojętności przekonywał, sam coraz mocniej czuł się w niej zakochanym; ale Teklinia, której ręką rozporządzono bez jej woli dla imienia Karlińskich, pozostała martwym posagiem. Życie ich z sobą było na pozór najszcześliwsze, ale nie miało tych rozkoszy związku serdecznego, które zbliżenie ciągle dwóch istot ułomnych osładzają. Tekla była pobożna i cnotliwa, знаła przymioty męża, umiała je cenić, ale w jej żyłach płynęła krew żywsza, niezużyta, szlachecka, energicznym strumieniem, odstręczała ją nicosć tego człowieka, który używał życia ale żyć nie umiał. Zniechęcała jego bezczynność i sybarytyzm, gniewała bezsilną dobroć. Chorążyc był najukochańszym i najczulszym małżonkiem, ale serca żony nie potrafił pozyskać. Troje dzieci pobłogosławiły ten związek dziwny i łzami tajemnymi oblany: syn Emil, którego zaraz ujrzyiny, córka Anna i najmłodszy z rodzeństwa Julian.

Chorążyc gryząc się i cierpienie usiłując pokryć w sobie jako człowiek przyzwyczajony, zmarł prędko po przyjściu na świat Juliana, a owdowiała żona jego, rok cały grubą nosiła żałobę... Opiekunami jej dzieci wyznaczeni byli dwaj bracia zmarłego, Atanazy i Paweł Karlińscy, z których ostatni zwłaszcza, żyjący w wielkiej przyjaźni z bratem, miał w sercu żal do bratowej, że Janowi zatrwała egzystencję. Atanazy, którego bliżej wkrótce damy poznać czytelnikom naszym, surowo też obchodził się z panią Janową; oba zaczęli się mieszać do jej dzieci, objęli zarząd fortuny i nieznacznie przyszło do wyraźnego powasilenia między nią a opiekunami...



Pani była jeszcze młodą i piękną bardzo, majątek jej znaczny nie ucierpiał był wiele, owszem zarządem dobrym przybyło mu wartości; bracia zmarłego w ciągłej byli obawie aby za mąż nie poszła, i przyczynili się posądzeniami swemi do przyspieszenia nowego związku.

Zjawił się w okolicy dawny wojskowy francuski, potem pułkownik dymisjonowany rosyjski, niejaki Delrio, który za lat młodszych widywał pannę Teklę w Warszawie. Przypadkiem przypomnieli się sobie i piękny, acz trochę niemłody pułkownik, zaczął często bywać i przesiadywać w Karlinie. Karlińscy natychmiast zastraszywszy się, jeli robić wymówki bratowej, na które ona ostro im odpowiedziała.

Delrio tymczasem pokochał się we wdowie, a biedna Tekla, której życie przeszłe tak było ciężkie, uczuła także bicie serca na wspomnienie młodości. Sądzę, że i bracia podejrzliwi, samem odradzaniem rozjątrzyli ją do tego stopnia, że gdy się pułkownik oświadczył, bez wahania podała mu rękę, aby na przekór im zrobić. Nie zastanowiła się nad losem dzieci, ale też wielkiego do nich nie miała przywiązania; dla niej były to przedewszystkiem potomki nienawistnego jej człowieka, który gwałtem chwyciwszy ją, zatrul jej młodość i odebrał najpiękniejsze lata życia.

Jak tylko wieść gruchnęła, że wdowa zamaż wychodzi, opiekunowie małoletnich przybiegli z fukiem i groźbą do bratowej, ale znaleźli ją chłodną, pewną siebie i nieprzełamaną w postanowieniu. Odpowiedziała im zimno, że istotnie zamaż wychodzi, a na ofuknienie się ich, że jej dzieci odbiorą, rzekła się ich natychmiast dobrowolnie.

— Nie jestem ani godną, ani namaszczoneą do wy-

chowania tak wielkiego rodu potomków, odezwiała się z uśmiechem, chętnie ich los złoży w ręce wasze spokojna; acz nieprzyjaźni mnie, wiem, że czuwać będziecie nad dziećmi brata... Matki im nie zastąpicie, ale oddacie ojca...

Z również chłodną krwią, chorażycowa zrzekła się zaraz połowy majątności swojej na rzecz dzieci, drugą zostawiając dla siebie. Ale napróżno były perswazje, prośby, uwagi, zakłęcia obu braci, szczególnie pana Pawła, który z wielu względów przypominał nieboszczyka Jana i dla tego może najmniej miał łaski u wdowy; nie odpowiedziała nic, nie sprzeczała się, ruszyła ramionami, wyszła i w osiem niedziel po roku żałoby, ślub jej z pułkownikiem Delrio odbył się przy kilku świadkach.

Zaraz potem chorażycowa wyjechała z mężem do dóbr swoich, dzieci zostawiając na opiece pana Pawła, a nawet córki się wyrzekając, której oddać jej nie chciał pan prezes. Wypadek ten uszczuplił znowu domniemanej fortuny Karlińskim, ale smutniejsze jeszcze miał skutki dla dzieci, pozostawionych tak sierotami. Jakkolwiek wychowanie ich było staranne, czułość stryjów niewyczerpana, dobór otaczających ludzi najtroskliwszy, zawsze to były sieroty, których całe życie musiało nosić piętno młodości, przeżytej wśród obcych.

Darmo się chlubił braterstwem w Chrystusie, ledwieśmy sobie bracia stryjeczni — nikt z nas tak kochać, jak powinien, nie umie... Związek krwi czysto zwierzęcy, jeszcze więcej przywiązuje nas od obowiązków i węzłów moralnych, jeszcze on tylko trzyma świat, żeby się nie rozprzął i nie wydarł sobie oczów. Pan Paweł pilnie pracował nad dziećmi, których został przy-

branym ojcem, ale zmuszony po większej części wyręczać się obcymi płatnymi ludźmi, nie znalazł w nich serca, coby się do sierotek przywiązało. Stare ich nianie, starzy słudzy siwi, kochali dzieci, ale nauczyciele, nauczycielki płatne i cała owa przybrana rodzina, która w nich ducha wlać miała, służyła za pieniądze, myśląc o sobie i swym losie. Guwernerowie kochali się w guwernantkach, dozorczy grymasili, bawili się, wyjeżdżali, a dzieci dosyć wyrastały opuszczone...

Bóg chciał, żeby to ich nie popsulo, dał im kierunek inny, który odwrócił oczy od widoku, mogącego w nich wcześniej zaszcześcić namiętności i niepokoje serca; czuwał też stryj Paweł i niekiedy pan Atanazy... a tak sieroty czyste wyszły z tej atmosfery chłodnej, utęsknione, marzące, ale niepokalane. Julian odbywszy nauki w domu, wprost zdał examen do uniwersytetu, przeszedł kursa i powrócił do Karlina, do siostry i brata, jako naczelnik rodziny; Emil bowiem był jedną z tych istot, które ciąglej wymagając opieki, mają tylko prawo do litości i łez rodziny.

## VII.

Wdowa po chorążycu szukała w nowem małżeństwie słodczy wzajemnego przywiązania, wyrzekała się domu, rodziny, dzieci, sądząc, że zyszcze serce, że idealną ukochana miłością, nagrodzi sobie młodość straconą. Uczucie, którego raz pierwszy doznała, obłąkało ją i zatarło w niej macierzyński nawet instynkt obowiązku; z łatwowiernością dziecięcia rzuciła się ku człowiekowi, który dla niej okazywał, jak się zdawało, prawdziwą i gorącą miłość; wyjechała z Karlina odmłodzona, swo-

bodna, mierząc okiem łzawem od radości przyszłość, jakiej się już nie spodziewała. Ale na świecie nie ma nadziei, któreby nie wyrosły na zawody! Tu zresztą potrzeba było żądzy przywiązania ślepej, gwałtownej, niepomiarowanej, żeby od razu nie spostrzedz, jak się serce omyliło. Pułkownik Delrio, starszy od wdowy, choć bardzo piękny mężczyzna, nie był już młodzieńcem w kwiecie wieku, ze świeżością serca mogącym pokochać namietnie; za to umiał miłość odegrać z biegłością starego aktora, wiedzącego doskonale, gdzie jakich użyć środków scenicznych. Niedługo był to jeden z najpiękniejszych ludzi swojego wieku: pamiętał o tem, i utrzymywał starannie resztki świeże jeszcze dawniej znakomitej piękności męskiej. Włócząc się po świecie, miał mnóstwo przygód miłosnych i wierzył w swą umiejętności zdobywania serc; jak Richelieu, miał się za niezwyciężonego. Natura, która mu dała twarz dziwnie wdzięczną i melancholicznego wyrazu, zrobiła sobie igraszke tylko, bo ta powierzchowność zwodnicza pokrywała w nim brak wykształcenia, chłód serca i najprozaiczniejsze skłonności. Był to człowiek dobrego wychowania, ale największy w świecie egoista, dobry, ale nieumiejący się poświęcić, dosyć łagodny, ale próżniak, zasadzający wszystko na spokoju, na używaniu, na błogosławionym dostatku. Nie miał przekonań i zasad żadnych, służył sile, kłaniał się bogactwu, klekał przed pięknem, żeby ją pochlebstwem ku sobie pociągnąć, słowem, nie myślał tylko o sobie.

Nikt nie znał z pewnością jego pochodzenia, o którym zresztą nigdy nie mawiał, wysoko tylko w ogólności ceniąc szlachectwo i ród, co zdawało się dowodzić, że je sam posiadał. Syn losu, dobił się z szablą w ręku pewnego położenia, tytułu, pensji i znaczenia, ale nie

mając ambicji tylko tyle, ile jej się zmieściło przy innych wymaganiach egoizmu, już wyżej sięgnąć nie pragnął. Pierwszy włos siwy na skroni, zmusił go pomyśleć o ustaleniu swego losu i przywiązaniu go do miejsca. Przed poznanie chorążycowej, mieszkał w bliskiem powiatowem miasteczku, w najętym domu, żył dostatnio, dawał wieczory, bywał w sąsiedztwie, czasem do stolic odbywał podróże i wiódł życie człowieka, który nic do czynienia nie mając, dogadza sobie we wszystkim. Ci, co u niego bywali, nie zwracali uwagi na piękną warszawiankę, która czasami ukazywała się przy herbacie, uchodząc to za kuzynkę pułkownika, to za wychowankę ubogą... Jak tylko Delrio poznał wdowę, warszawianka znikła, mówiono, że zamaż wyszła za jakiegoś małego urzędnika na prowincję. Biednej wdowie tak smutnie spłynęło życie przy mężu, który się starał wzbudzić w niej miłość, a wywoływał z serca tylko niechęć i zmierliwienie, tak żał było lat zmarnowanych, że pierwsze obietnice pełne spojrzenie pułkownika, pierwsze jego słodziuchne słowo i westchnienie, zwyciężyło ją od razu. Delrio nadto był doświadczony, żeby z tego nie korzystał; widział to, rozumiał i obrachowawszy się dobrze, postanowił dobić targu. A że przed okiem jego nie mogła się ukryć skłonność wdowy do sentymentalności, grał dobrze rolę młodego kochanka, od której choć odwykł trochę, powoli ją sobie przypominał. Zresztą chorążycowa piękna jeszcze, rozkochana, gotowa na poświęcenie ślepe, mogła bardzo chłodne nawet rozgrzać serce.

Uwagi braci nieboszczyka jej męża, wyrzuty Atanazego, grzeczne ale usilne ustawiania pana Pawła, zamiast opamiętać chorążycową, rozdrażniły ją tylko.

Wyrzekła się dzieci i cała oddawszy się swemu przywiązaniu, biegła się niem spragniona napoić. Krótko trwały złudzenia! Miłość pułkownika tak, niestety! znalazła się podobną do miłości męża, charakter jego tak inny był od tego, jakiego się spodziewała... że wprędce pierwsza łza kryjoma spadła na twarz zasmuconą... Zbliża Delrio ukazał się jej tak prozaiczny, i przy dobroci swej tak chłodny! Mårzenia lat kilkunastu wystawiały jej przyszłe szczęście czemś niebiańskim, nadziemskim, uroczem, jak wspomnienie młodości — a choć pułkownik był czuły, miłość jego daleko pozostała za tą, jakiej pragnęła wdowa. W bliższych stosunkach musiał się dać uczuć egoizm podstarzałego w nim i nieprzywykłego do ofiar, bo zawsze otoczonego uległemi mu istotami, człowieka. Zrazu pułkownikowa sądziła, że się myli; była pobłażająca, czekała, spodziewała się, i objawami przywiązania wywołać się starała gorętszą wzajemność. Niestety! człowiek się nie przerabia, każdy daje tylko co może, z próżnego serca nie nalać — Delrio był grzeczny, był po swojemu czuły, uprzedzający, ale tak prędko stał się mężem, a przestał być kochankiem!

Kochanka nad wszystko pragnęła w nim chorażycowa — i z rozpaczą ujrzała popełnioną omyłkę, bo zaraz po ślubie stał się najczulszym z mężów, ale niestety, mężem tylko! W dodatku, sztuczna jego młodość, podrobiona piękność, nie wytrzymały próby zbliżenia i poufalszych stosunków; miłość nie mogła się pogodzić z flanelą, pigułkami i różnemi środkami profyllaktycznemi, higienicznemi, lekarskiemi, jakich przeszłe lata nakazywały używać panu Delrio.

Otwarły się, ale za późno oczy zawiedzionej kobiecie; i serce też matki odezwało się o prawa swoje. Nie

zdawała się kochać dzieci, gdy je miała, teraz oddaloną od nich pożerała tęsknota... we snach marzyła o Anusi... o Emilku, o Julianie... pustkę czuła nie widząc ich przy sobie, niepokój ją ogarniał i ochłoniawszy z zapału, wstydziła się obojętności, braku serca, szalu, z jakim rzuciła się od obowiązków matki do wymarzonych rozkoszy, które wiekowi jej nie przystawały.

Pułkownik był zawsze najprzywiązawszym i najprzekładniejszym z małżonków, nie zjawiała się w domu żadna podejrzana kuzynka, pilnował strzechy, grał skromnie, odpoczywał na łonie hymenu, ale szalenie postarzał i nagle przekwitł tak, że się z młodzieńca stał prawie starcem bez przejścia. Nie czuł już potrzeby odgrywania pracowitej komedji. Biedna pułkownikowa nie pokazała po sobie, jak była nieszczęśliwą i ile sobie wyrzucała swój postępek, owszem udawała szczęście, ale po cichu płakała, a żal dzieci codziennie srożej, boleśniej jej serce uciskał.

Nie było bo może dwojga ludzi związanych z sobą na wieki, którychby charaktery mniej się z sobą zgadzały. Wdowa miała nsposobienie sentymentalne i głowę przewróconą czytaniem francuzkich romansów; pułkownik zaś stał się, skutkiem rodzaju życia, materjalistą i pokrywał tylko wychowaniem egoizm wyrosły olbrzymio. Nie długiego potrzeba było czasu pani Delrio, aby się na tem poznać i przestać spodziewać szczęścia — uciekała z pod dachu, do którego przykuwały ją obowiązki nowe, myślą i sercem do dzieci.

Tymczasem opiekunowie ich, powierzchownie sądząc o kobiecie, która popełniła w oczach ich niedarowane odstępstwo, obawiając się jej wpływu na wychowanie młodych Karlińskich, odsuwali ją potroszę od wszelkiego w



niem udziału. Biedna matka, im mniej teraz matką być mogła, tem goręcej nią być pragnęła; życie jej stało się pasmem pragnień macierzyństwa, niepokojów i zawodów. Z mężem byli najlepiej, ale codziennie dalej od siebie i chłodniej; pułkownik widząc się nieco opuszczonym, cały się oddał staraniu około zdrowia i wygód a przyjemnostek, o które dbał niezmiennie. Żyjąc na łasce żony, był zawsze dla niej z największymi względami, ale przestał udawać zakochanego i rozpoczął życie prozaiczne, regularne, obrachowane.

Cios, który dotknął pułkownikową, zawód, którego doznała, nadwerężył jej zdrowie i wypiętnował się na zesmutniałej twarzy... ostatnią straciła nadzieję. Była to jedna z tych istot, z których nie, nawet boleść, nie zdrze piękności. jaką je obdarzyła natura; pozostała więc, mimo lat, piękną zawsze, ale pozbyła energii, pragnienia życia i wszelkiego wesela. Usta jej śmiać się zapomniały: nienastannie zamyślona, rwała się do swych dzieci i niepokoiła o nie... chciała mieć córkę przynajmniej przy sobie, ale i tej zazdrośni opiekunowie dać jej nie chcieli. Kiedy niekiedy więc tylko, jak teraz, odwiedzała Karlin, posiedziała i poplakała z niemi, wracając do swoich dóbr, do Lutkowa, jak skoro pan Paweł nadjechał, co niechybnie w dni kilka najdalej po przybyciu jej miało miejsce, bo mu zaraz znać dawano o przyjeździe pułkownikowej.

## VIII.

Gdy doktor Greber z Aleksym Drabickim zajechali przed ganek zamku w Karlinie, choć to już nie było tak bardzo rano, znać spali tam wszyscy jeszcze, bo



znaku życia nie widać było; służący tylko, postawiony na straży przez Juljana. wprowadził zaraz do niego przybyłych. Pierwszy to raz Aleksy znalazł się przypadkowo wciągnięty w sferę zupełnie sobie nieznaną, i jak zwykle jemu podobni, uczuł przestrach niewytłumaczony, pochodzący z miłości własnej, obawiającej się zdraśnięcia. Poważny ów zamek stary, mnogość sług, oznaki państwa i arystokracji wypietnowane wszędzie, przykro odbiły się w człowieku przywykłym do równych sobie, lub do niższych, z którymi czuł się zupełnie swobodnym. Pożałował w progę, że się dał wciągnąć do tego domu, którego drzwi, w przekonaniu swoim, nie powinien był przestąpić. Ale cofać się nie czas już było; doktora i jego, po wschodach wysłanych dywanem, wprowadzono na pierwsze piętro bocznego skrzydła, do mieszkania pana grafa, jak go nazywali słudzy po swoim.

Wszystko tu dla ubogiego szlachcica, co się urodził i żył pod słomianą strzechą, było zdumiewajacem i zdawało się zbyt kownem. Sama budowa tak obszerna, marmurowe wschody, kobierce po nich porozrzucane, drzwi przyozdobione bronzami, przedpokoje pełne kwiatów i mieszkanie Juljana, istotnie z gustem i przemysłem sybaryty i wytwornisza urządzone. Okna tej części pałacu wychodziły na ogród i światła dawały mało, obicia stare ale pięknie zachowane, przyciemniały jeszcze wnętrze, które było zastawione mnóstwem kosztownych sprzętów starych i nowych. Ściany pokrywały obrazy w ramach złotych, wybornego pędzla, portrety rodzinne, flamandzkie i holenderskie, arcy-dzieła kolorytu i cierpliwości, pejzaże stare z wielkim wybrane smakiem, zwierciadła ogromne, świeczniki i misterne półki pełne zabytków

drogich, ciekawych i pięknych.

Po wszystkich kątkach stały kanapki różnych kształtów, wzywające do spoczynku, do wygodnego wyciągnięcia się po objedzie, do położenia na drzemkę, zdając być wymyślnie zastosowane do najdziwniejszych potrzeb rozpieszczonego, schorzonego ciała, szukającego ulgi w zmianie gnuśnych położeń. Były tam szezłagi, fotele, kozetki, vatersztule, woltery, berżerki, niziutkie i wysokoporęczowe krzesła, na huśtawkach, na kółkach, na sprężynach, sofy, sofki, podnóżki, nie tylko ze śmieszną tro-skliwością o wygodę dobrane, ale przyozdobione pięknie gobelinami, bronzami, snycerszczyzną. Pod nogami ich rozpościerały się skóry niedźwiedzi i dywany.

Z pierwszego pokoju, który stanowił wstęp do apartamentu, weszli do saloniku, którego by się żadna nie powstydzila elegantka, świeżuteńkiego, pełnego cacek, udrapowanego, pachnącego i przybranego w najwyszukańsze kwiaty. Tu Aleksy uczuł się jeszcze bardziej nie swój, zmieszany na widok rzeczy tysiąca, których ani użytku, ani ceny nie umiał odgadnąć.

Do czego to im wszystko służy? pomyślał — ile w tem grosza, którego lepiej użyćby można? czyż człowiek wykształcony bez tych znikomych drobnostek, bawiących oczy dziecinnie, obejść się nie może? Czy ten rodzaj życia, o którym powiadają ich sprzęty, nie wyciąga z nich siły, i nie czyni ich czem są: lalkami drżącymi od strachu za każdym silniejszym wiatru powiewem? Kto z nas dwóch jest w błędzie? czy ja co się bez tego obchodzę, czy on co żyć bez nieznanych mi potrzeb nie może?

Nim gospodarz nadszedł, usiedli w krzesłach i Aleksy poczuł, chwilę spoczawszy, że łatwo się było można do

nich przyzwyczajaić. Doktor wyciągnął się wygodnie, bez ceremonii, a czując się potrzebnym, daleko też okazywał się śmielszym; zresztą, dla niego nie były to rzeczy nowe. Właśnie zabierał się już prosić o herbatę i cygaro, gdy Julian zbudzony wbiegł, zawiązując jeszcze chustkę, w rannym surduciku aksamitnym, ubrany starym, ale błady i z oczyma zaczerwienionymi. Spojrzał na Aleksego i naprzód ścisnął jego rękę, cicho mu dziękując za przybycie, potem dosyć z góry i protekcyjnie powitał doktora, który zachowując swój tonik, umiał go z nadskakującą pogodzą grzecznością.

— Bardzom panu wdzięczny, żeś był łaskaw przyjechać. rzekł szybko — przynajmniej uspokoisz mamę...

— Ale jakże się ma pani pułkownikowa?

— Wczoraj, jak mi mówiono, miała jakieś silne uderzenie do głowy — potem trochę dreszczu i gorączki... później, z północy, już niespokojnym snem usnęła; siostra moja jest przy niej... jak tylko się przebudzi, kazałem dać znać o panu... Jeszcze nie mogę ochłonąć z przestachu, jakim mnie to nabawiło...

To mówiąc, zadzwonił Julian, i wbiegł w pięknej liberji służący. któremu kazano podawać śniadanie. Aleksey w duchu powiedział sobie, że natychmiast po nim wyjedzie, nie widząc się wcale potrzebnym, a obawiając być poczytanym za natręta.

— Jakżeś ty dobry i pocziwy mój drogi Aleksey, żeś do mnie przyjechał, — zawołał obracając się ku niemu Julian, — obawiałem się, żebyś wprost do Żerbów nie popędził...

— I gdyby nie ja, byłby to zrobił, rzekł doktor, ale sądząc, że pułkownikowa bardzo chora, namówilem pana Drabickiego, żeby w takiej chwili swej pomocy nam nie

odmawiał. Pan sam jeden...

— Dzięki Bogu, mamie nie jest tak źle, o ile miarkuję, przerwał Julian — ale kolega i dobry przyjaciel, to zawsze najmilszy gość w domu, jeszcze dla mnie, com go tak dawno nie widział.

Doktor, który wszystko nważał, chcąc zbadać jaki ich łączy stosunek, zastanowił się nad tem wyrażeniem.

— Jak to? spytał...

— A tak, bo kochany kolega, mieszkając od tak dawna o miedzę odenmie, o czem nie wiedziałem, nie był nawet w Karlunie; byłbym go uprzedził, aleu się nie domyślał, że dla wsi wyrzekł się swoich marzeń młodzińczych.

Greber spojrzał na obu, chciał się dobrać powodu tak długiego niewidzenia i nie zrozumiał go. Aleksey do reszty był onieśmielony tem co go otaczało i umilkł. Julian w karczinie na popasie a Julian występujący jako gospodarz tego fendalnego zamczyska, wcale mu się różnie wydawali: pierwszy go nie odstręczał, drugi już w nim obudzał jakąś instynktową obawę. Biedny szlachcic potrzebował czasu, ażeby się ośwoić z tem co otaczało, nie miał wprawy w to życie nowe.

Podano uareszcie śniadanie wniesione przez kilku ze służby na ogromnych srebrnych tacach, podane z kwintem i starannością domu od wieków zasposobionego, w którym na wszystko były prawidła i tradycje, nawet na sposób krajania chleba, który przyniesiono obwinięty w białą serwetę. Tu znownu nieznanu dotąd zbytek zastanowił Aleksego. Tyło tam było rzeczy niezrozumiałych dla niego, niewiadomego mu użytku, a widocznie na coś dla tych ludzi potrzebnych; tyle zagadek dla człowieka, co tylko najprostszy wyraz życia pojmował!

Śmieszno powiedzieć, ale Aleksy wpatrywał się osłupiały w ten niezliczony dobór chleba, bułek, placków, placuszków, obwarzanków, nożów, nożyków, łyżek, łyżeczek, misek, miseczek, małych i wielkich filiżanek i szklanek, imbryków, nalewek... które zdawały się nie na trzy ale na dwadzieścia przynajmniej przygotowane osób. Uśmiechnął się wreszcie, gdy go Julian zapytał troskliwie, czy woli herbatę szklanką, filiżanką małą, czy wielką?

— Mój drogi, rzekł, zapominasz, że do mnie to mówisz; ja piję czem mogę i nie przywykłem wcale dobierać sobie... daj mi czem chcesz i co chcesz, to mi wszystko jedno...

Lekarz chcąc się niejako wyżej już cywilizowanym od pana Aleksego pokazać, poprosił o... szklankę...

— A co będziecie pili? dodał gospodarz uśmiechając się.

— Co chcesz kochany Julianie, odpowiedział Aleksy, nic mi nie szkodzi a wszystko smakuje... zatem co na placu to nieprzyjacieli...

— Szczęśliwy! szepnął Julian... wzdychając.

— Ja proszę... o herbatę... dodał doktor niedozwalając zapomnieć o sobie.

Zabrali się tedy do śniadania, a Aleksy ujrzał ze zdumieniem, jak dawnemu towarzyszkowi wygrzewano n kropkiem filiżanki, jak przynoszono jaja miękie, jak pilnowano jego herbaty, żeby chwili na samowarze nie postąpiła... wszystko to były dlań niezrozumiałe wykinty popsutego wygodkami człowieka. Gdyby nie doktor, możeby był nawet zapytał Aleksy przyjaciela o wykład niektórych tajemnic gastronomicznych, ale przytomność obcego wstrzymała go. Rozglądał się tymczasem po pokoju i dziwił w duchu przepychowi, który w mieszkaniu

mężczyzny był zupełnie zbytecznym, i zakrawał nawet na śmieszność. Nie zazdrościł Julianowi, owszem litował się nad nim prawie, zbytek ten i zniewieściałość uważając za rodzaj więzów i niewoli. W epokach moralnie potężnych. nigdy cywilizacja nie dochodziła do tego stopnia miękości i nie przedstawiała się widomie we fraszkach mających tylko za cel zniewieszczenie człowieka. Wznoszono pomniki olbrzymie, wspólnemi siły narody całe dźwigały gmachy religijnego lub utylitarnego znaczenia, artyści rozwijali w nich arcy-dziela mi uczucie piękna, rzemiosła nawet nosiły na sobie piętna sztuki, ale człowiek się wstydził pieścić ciało i terać swe siły na dogadzanie namiętnościom lub tworzenie ualegów poczwarnych. W ubogiej chałupie Grecyzna, lampa choć jedna i posażek przedstawiały żywioł artystyczny, ale nie było i u wodzów nawet zasłon, kobierców, miękkich pościadek dla członków, które się nużyły spoczynkiem. Pojmowano, że rycerze nie wyrastają w puchach, a jadło żywić powinno ciało, nie zabijać ducha; miękości strzeżono się jak niebezpiecznej trucizny, zamiast miłości życia uczono się pogardy śmierci... Dziś chwalimy się z tego co nasz upadek zwiastuje: na sto wynalazków ledwie parę mają na celn istotną korzyść człowieka, reszta odzywa się do jego namiętności, i dogadza tylko bez miary rosnącym potrzebom zmysłowym.

Ztąd ta barwa materjalności, którą przybrał nasz wiek chwalecy się sobą i wymyślający teorje dla pokrycia swych błędów, i ztąd słabość moralna ludów, które uwierzyły, że taki kierunek cywilizacji, przemysłu, sztuki, jest właściwym i pożytecznym; ztąd piętno mienoty, pospolitości, materjalizmu jakie nosi wszystko co tylko stwarzamy, ztąd nawet upadek sił w plemieniu

całem, zużytem, chorem i do niczego niezdatnem.

Duch gaśnie wszędzie. przybity, znieważony, zaparty, ustępuje ciału i zchodzi z obumierającego świata — wszystko się bowiem dzieje w imię ciała, nie w imię ducha. Nauka Chrystusowa jest już tylko formą i konwencjonalnie przyjętem prawem, które szanujemy na pozór, ale od spełnienia go wszyscy się wzajem uwalniamy. Paganie znowu, paganie niebezpieczniejsi daleko od tych których nawracali apostołowie słowem, a męczennicy krwią przelaną, zrzekamy się prawdy dla fałszu, którego widząc znikomość, smakujemy w jego słodocy...

Niektóre z tych myśli przesunęły się przez głowę Aleksemu, a Julian rozruszać go i rozweselić nie umiał, sam też nie bardzo będąc spokojny, oddać się nie mógł przyjacielowi, co chwila przypominając matkę, do której posyłał bezustanku.

Było już około dziesiątej, rozmowa nie szła między trzema panami, cisza panowała w pokoju. Aleksey siedział z głową spuszczoną, gdy szmer w progu, szelest sukni kobiecej, obudził go z zamyślenia i prawie przestraszył. Podniósł oczy i ujrzał przed sobą najniespodziewańsze zjawisko, — kobietę przedziwnej piękności... porwał się z krzesła i stanął osłupiały niemal z podziwu i zachwycenia. Łatwo mu się było domyśleć że to była Anna, siostra Juliana, przychodząca z uwiadomieniem o przebudzeniu matki; gdyby podobieństwo rysów nie zdradzało pokrewieństwa, szlachetność i poetyczność tej postaci. panią by w niej uznać kazała...

Anna o rok starszą była od brata, ale zdawała się prawie młodszą od niego, tak dziewiczy był wyraz jej twarzyczki, tak życie nie się jeszcze tysiącem swych boleści nie wypiętnowało na jej anielskim obliczu,



oblanem aureolą spokoju.

Rysy miała rodowe Karlińskich: oczy czarne, nos przesłizny, prosty, malutki, a tuż przy nim usta uśmiechnięte smutno, dzieciinnego prawie wyrazu, naiwności pełne. Owal twarzy nieco długi, przypominał stare, włoskiej szkoły przedrafaelowskiej madonny; brak mu było barwy, marmurowa jednostajna pokrywała go bladeść, ale jak z nią było jej pięknie! Ciemne jej włosy nie były jednak czarne, orzechowe raczej, brwi i rzęsy daleko miała silniejszej barwy, ale warkocz obfity pochylał nieco na ramię obciążoną głowę, a w polyskach jego, jak w bronzie starym, przebijało się złoto. Jak Julian, Anna była istotą, którą lada silniejszy powiew wiatru mógł zda się rozwiać w powietrzu, i to co w mężczyźnie słabością było, w niej stawało się wdziękiem, który ją zbliżał do ideałów poety. Brakło jej tylko dwóch lekkich skrzydełek, by uleciała z uśmiechem do niebios w które patrzyła z tęsknotą.

Może sieroctwo, którego doznała w dniach przedzielających dzieciństwo od młodości, sieroctwo dziwne, bo mając matkę nigdy na dłużej przytulić się pod jej skrzydła nie mogła, nadało jej wyraz smutku i rezygnacji cichej, spokojnej, pokornej, który zdawał się najwłaściwszy omglonej i powietrznej postaci, ledwie stopami dotykającej ziemi. Trudno ją było pojąć wesołą; nigdy też nią nie była, ale i smutek jej nie był frasunkiem ziemskim, znudzeniem, zniechęceniem, obrzydzeniem życia; była to jakaś tęsknota do nieśmiertelnej ojczyzny, do jasnych niebios i białych aniołów, coś jakby nostalgia wygnanki skazanej na wiekuiste mieszkanie wśród obcych i obojętnych. Było w niej coś tak anielsko - czystego i wielkiego, że najzepsutszy jwzrok ludzki nie śmiał na



nią spojrzeć z myślą grzeszną; przytomność jej oświecała i oczyszczała, człowiek przy niej czuł się lepszym, podniesionym, spokojnym jakby go anioł uniósł skrzydły jasnymi nad ziemię.

Anna była też ukochaną, nietylko w Karlinie od tych co ją otaczali, ale zyskiwała serca wszystkich, i wzniewała uwielbienie w każdym, do kogo się choć trafem zbliżyła. Dojrzała przedwcześnie, poważna, kierowała mimowolnie Julianem, stryjami, domem całym i wyrzekła się młodości dla surowych obowiązków życia, które spełniała z ofiarą chętną i całą samej siebie. Nie wiem czy kiedy pomyślała nawet o sobie i przyszłości; jej szczęście było w szczęściu drugich, a jeśli kiedy uśmiechnęła się radośnie, to dla nich, lub z nimi.

Stanąwszy w progu, panna Anna, która się niespodziewała widać znaleźć u Juliana nikogo prócz niego i doktora, zdumiała się i zacofała widząc obcego, kogoś tak niepozornego jak Aleksy, w poufalej rozmowie z bratem i w jego towarzystwie. Przyszło jej na myśl, że to być mógł drugi jaki nieznajomy lekarz, wezwany przez Juliana; inaczej bowiem sobie wytłumaczyć nie mogła tak raunego przybycia zupełnie nieznajomego, w ubraniu w jakim się jej jeszcze nikt z mężczyzn nie przedstawił. Aleksy był całkiem po podróżnemu, a choć mu i w tym stroju dosyć było do twarzy, choć może lepiej jeszcze wydawał się w prostej odzieży człowiek pracy, panna Anna tak się rychło na tem poznać nie mogła. Uderzyła ją tylko pospolitość tej postaci pełnej siły i energii, ale na pierwszy rzut oka rażącej szorstkością pozoru i zaniedbaniem. Zdziwiona, zatrzymała się w progu, właśnie gdy Drabicki, skłopotany że się tak nieprzyzwoicie prezentował, pochwycił się z siedzenia i

stanął jak wryty niewiedząc co się z nim stało, czując tylko, że jakieś nieziemskie zjawisko miał przed zdumionymi oczyma.

Juljan, który postrzegł a raczej przeczuł siostrę, i doktor który ją zdaleka zobaczył, porwali się i podbiegli ku niej, na chwilę zostawując Aleksego w osamotnieniu dość przykrem: wprędce jednak przypomniał sobie Karliński towarzysza, szepnął coś siostrze na ucho i przedstawił go.

— Jeden, a może jedyny, którego przyjacielem w życiu nazwać mogłem, towarzysz mój uniwersytecki... Aleksey Drabicki, kochana Anusiu... Winniśmy mu podziękować serdecznie, bo sam jeździł po pana Grebera i sądząc, że nam jeszcze w czem pomocnym być może, był tak łaskaw, że do Karlina z nim przybiegł; aleśmy mu winni i wymówkę, bo dawno mieszka tu o milę, i nie dał znaku życia...

Anna skłoniła się zlekka, zapłonioma nieco, Aleksey wymówił słów kilka niezrozumiałych, i natychmiast zaczęto mówić o pułkownikowej.

— Przebudziła się mama? spytał Juljan.

— Jak się ma paui pułkownikowa...?

— Zdaje mi się, że lepiej jest jak wczoraj, ale dziś ma mocny ból głowy, odezwała się Anna, — pytała o pana Grebera... możebyśmy poszli do niej...

— Chodźmy, zawolał Juljan... Ty kochany Aleksey, odpocznij, weź jaką książkę, ja zaraz powrócę...

— Dziękuję ci, odparł żywo Aleksey, widząc się niepotrzebnym, spieszę do domu, zawadzałbym ci, a czas mi drogi i chwile mam policzone...

— Radbym cię serdecznie nie puścić...

— Niech pan zostanie... szepnęła Anna przez grzeczność.

Aleksy się uklonił.

— Muszę jechać...

To mówiąc, w chwili gdy doktor z panną Anną przodem pospieszali do pułkownikowej, pożegnał Juljana i zbiegłszy ze wschodów, siadł na bryczkę która go czekała. Za bramą odetchnął lżej i uczuł się dopiero swobodniejszym; w Karlinie pierwszy raz doznał przykrego jakiegoś uciskającego uczucia, niewysłowionego ciężaru, od którego uczuł się dopiero wolnym, gdy bramę pałacową przejechał. Śmiał się z siebie, tłumaczył to sobie różnie i obwiniął o dzieciństwo, ale przezwyciężyć nie mógł. Dla czego te mury, ten przepych, bogactwo, to państwo, których się ani obawiać, ani im kłaniać nie miał powodn, ludzie bez których się mógł obejść, takie jakieś dziwaczne zrobili na nim wrażenie obawy, niewoli, ucisku? Zwykle odważny i szczery tu się czuł spętany, a słowa marły mu na ustach, i w sercu nieznana jakaś odzywała się bojaźliwość: czemu nie umiał być szczerze, otwarcie sobą, tak jak był w domu ze swyni? dla czego silniejszym w istocie będąc, uznawał się niejako słabszym, przez to uczucie niewyrozumowane, które nim ovladło?

Zostawmy go rozwiązywaniu tych zagadnień, które przez drogę do domu, zstępując do serca swego, usiłował rozplątać, a wróćmy do Karlina.

Pannę Annę uderzyła zarazem pełna wyrazu siły, energii i prawości postać Aleksego, i niezwykła jej powierzchowność. Przywykła widzieć ludzi posłusznych formie jedynej w jakiej świata część jest odlana, nie poznała się zrazu na młodym człowieku; ale nieprzyjemnego doznała wrażenia, widząc go tak odmiennym od tych co się u niej uważali za normę przyzwoitości. Mimo

wyższości swego umysłu. w pierwszej chwili oprzeć się nie potrafiła temu ucznui i musiała do niego przyznać się przed bratem.

— Gdzieżeś to, kochany Julku, odgrzebał tego oryginalnego przyjaciela? spytała z uśmiechem...

— Nie podobał ci się kochana Anusiu?

— Tak krótko go widziałam, że o nim sądzić nie mogę; ale przyznam ci się, że pierwsze wrażenie nie było korzystne; coś na tak strasznego w sobie... jakiegoś trybuna fizjognomii... coś barbarzyńskiego prawie... zimno mi się zrobiło gdym go u ciebie zobaczyła.

Juljan się rozśmiał.

— Prawda moja droga, rzekł, że się różni wielce od tych których pospolicie tu widzujemy; człowiek ubogi, pracowity... był moim dobrym towarzyszem na ławie akademickiej, dusza wzniosła, serce złote, energii i siły ogromnie... Dawno już gospodaruje w Żerbach, a nie był u nas, ceni swoją niezależność... ledwie go nakłonił potrzebą posługi, że tu zajrzał, przywiózł nam sam doktora... jeździł po niego.

Anna zastanowiła się nieco nad słowami Juljana...

— A! jakżem mu wdzięczna... to jakiś dobry człowiek być musi, choć dziwnie w tym stroju wieśniaczym wygląda. Nie wiedziałam co to znaczy, ktoś taki u ciebie... przepraszam, że się nie poznała na twoim przyjacielu, ale się poprawię...

— Wątpię moja Anusiu, rzekł Juljan — on tu nie zechce przyjechać więcej...

— Dla czego? wszakżeśmy mu nie chybili?

— Nie, ale dziki trochę... i boi się byśmy go nie obalamucili, my, jak nas nazywa, próżniacy... Biedny, ma całą rodzinę na głowie, a tak mu ten zawód gospoda-

rza ciężać musi przy jego ukształceniu umysłowem.

— Więc to człowiek wykształcony?

— Jedna z najlepszych głów jakie znam, kochana Anno... a charakter! a serce! a wytrwałość!

— A! jakże mi żal, że tak źle go osądziła!

— Nie dziwię się, odparł Juljan, — wy kobiety rzadko macie odwagę inaczej jak z powierzchownej skorupki sądzić człowieka, dla tego to może tyle was spotyka zawodów. Najmniej godni szacunku umięją się ubrać dla oka tak uczciwie!

To mówiąc zbliżyli się do pokoju matki, rozmowa i chód ich cichsze się coraz stały, powoli otworzyli drzwi sypialni i weszli do niej prowadząc doktora za sobą.

## IX.

Pani pułkownikowa Delrio siedziała już w fotelu. przybrana nieco, bo się spodziewała Grebera, a choć wiek mógł był ją uczynić obojętną na to jak się przed ludźmi pokaże, nie miała jeszcze odwagi, choć trochę się nie przystroiwszy, przedstawić obcemu. Pamiętała, że była piękną i ślady dawnych wdzięków pozostały jeszcze na jej twarzy zbladłej nieco, zmęczonej, nieraz podobno oblanej łzami, a zmuszającej się do uśmiechu i młodźci.

Wiek jej odgadnąć nie było można, bo go starannie ukrywała i miała jedną z tych szczęśliwych fizjognomji, które do jakiegoś czasu świeżo się i młodo trzymają, aż je gwałtowne wstrząśnienie w kilku godzinach o lat kilkanaście postarzy. Mimo cierpienia, pani Delrio nie pozwoliła jeszcze sobie postarzeć, nie dała się zmódz przeciwności. boleściom, tęsknocie, które ją

dotknęły. Twarz jej była znakomicie piękną i uderzała wyrazem ognia i zapalu; wielkie czarne oczy, które chwilowo powiększało trochę gorączki, błyskały dziwnie wśród pośłkłej, jednobarwnej twarzy z wypalonym, niezwykłym, chorobliwym rumieńcem; czoło miała białe i wzniosłe, nos orli małeńki, usta z trochę dumy zaciśnięte. Na głowie jej obfity ciemny warkocz ledwie kilką niedostrzeżonemi srebrzył się włosami, posiwiałemi zawczasie, może w godzinach cierpienia i żalu. Nie straciła nawet ani kibici, ani tego wdzięku, który niemoż odbiera, a rączka jej i nóżka uderzały kształtami pełnemi i utoczonemi, ale niedotkniętymi jeszcze zębem czasu, jak to dawniej mówiono... Gasła wprawdzie przy idealnej dziewiczej piękności Aunty, ale tej wdzięk był tak różny i całkiem duchowny, że go porównywać nawet nie było podobna do piękności pułkownikowej, w której dusza śladami tylko boleści się objawiała.

W rysach matki, choć tajone, malowało się życie jej całe, wszystkie pragnienia nienasycone, doznane zawody i ten niespokój, jaki towarzyszy nieugaszonym jeszcze a już zrozpaczonem namiętnościom czysto ziemskiego pochodzenia. Było w niej i rozdrażnione macierzyńskie uczucie, którego zaspokoić nie mogła, i łal po życiu upływającym, bez marzonego szczęścia, i niedosnute sny młodości przeciągniętej za zwykłe jej granice; obok powagi matki coś dziewiczego, coś młodego jeszcze...

Pułkownikowa siedziała w fotelu zamyślona, z głową na rękę opartą; podniosła oczy i uśmiechnęła się na widok dzieci.

— A! Julek! zawołała... przyjechałeś? kiedyś przyjechał...

— W nocy, mamó, spotkałem się z Samójłą jadącym

po pana Grebera i z noclegu pospieszyłem tu zaraz...

— Dziękuję ci, dziękuję, odezwała się z czułością pani Delrio, takem pragnęła ciebie zobaczyć... a powracać muszę...

— Juściż nie chora...

— Wiktor byłby o mnie niespokojny... a ta choroba... prawda doktorze, że to nic?... może trochę kataru?...

— Zaraz zobaczymy, poważnie odparł lekarz zasiadając przy pani Delrio, zaraz zobaczymy. — I delikatnie ujął białą jej rączkę.

Twarz doktora wśród tego badania nic nie wyrażała; namyślał się czy pułkownikowa potrzebuje być w tej chwili zdrową czy chorą, bo istotnie słabości tam nadzwyczajnej nie było, a Greber chciał się zastosować, wedle swego zwyczaju, ze zdaniem do potrzeby pacjentki... Nie dostrzegłszy nic zatrważającego, wreszcie domyślił się, że słabość musiała być więcej moralną jakąś podporą projektów, niż rzeczywistym cierpieniem, i rzekł potrząsając głową:

— Jechać nie pozwolę; jest trochę gorączki, potrzeba spoczynku... czasu... zobaczymy... muszę się rozpatrzeć...

Twarz pułkownikowej nieco się rozjaśniła, Greber chwycił jej wyraz przelotny i dodał:

— Ani myśleć jechać, z tydzień potrzeba tu pozostać.

— Poszlemy do pułkownika, rzekł Julian.

— Ale nie piszcie żem chora, tylko że mnie tak... interes, wasze sprawy jakie... Anusia lub stryjowie wstrzymali... co chcecie...

— Niech mama będzie spokojna...

Pułkownikowa westchnęła, Greber się namarszczył przystępując do ściślejszego egzaminu, a Julian z Anną, poszeptawszy coś z sobą, wyszli razem z pokoju matki.



## X.

— Chodźmy do Emilka, odezwiała się Anna w korytarzu... cała ta choroba mamy pochodzi z wczorajszego z nim widzenia się... ty wiesz, jakie on biedny na mamie robi wrażenie... Zdaje mi się... że i on nie musi być dobrze, od wczoraj go nie widziałam.

— Idź sama, odparł Julian, ty jedna masz jakiś wpływ na niego i władzę nad nim, ja idę wyprawić poslanca i będę u niego później; lepiej gdy się tak podzielimy. dłużej kogoś przy sobie mieć będzie.

To mówiąc pocałował rękę Anny i pospieszył w przeciwną stronę, a siostra powolnym krokiem przez długi korytarz, skierowała się ku pokojom odsuniętym, położonym na rogu starego zamku. Wybrano je może dla rozległego widoku który się stąd rozciągał na całą okolicę, może dla usunięcia człowieka, którego zaraz poznamy, od wszelkiego zetknięcia z ludźmi, od oka ludzkiego i natrętej ciekawości.

Panna Anna z ostrożnością otworzyła drzwi obite suknem i po cichu weszła do przedpokoju, w którym starszek siwy drzemał na krześle, w okularach, z nabożną książką w ręku. Z powierzchowności poznać w nim było można zaraz sługę domu, przywiązanego doń jak do rodziny, i z zupełnem poświęceniem oddającego mu resztki niedogastego życia. Siwy, zgarbiony, wychudły. Antoni Miazga, wzięty do usług dworskich ze wsi za lat młodszych, stał się jednym z kamieni tego zamku, jego cząstką, rozbratał z rodziną własną i wyrzekł jej dla tych których nałogowo pokochał. Twarz jego spokojna, męska, zamysłona, pełna była dobroci; zobaczywszy

swoją panienkę złożył szybko książkę, uśmiechnął się, zdjął okulary i pospieszył jej drzwi drugiego pokoju otworzyć. Na palcach weszła doń Anna, ale tu nie było nikogo. Dziwne mieszkanie nie dozwalało nawet domyśleć się kto je zajmował: kilka parawanów, flaszki, lekarstwa, smutny przybór choroby i niemocy, całe je zapełniał. Dopiero w trzecim pokoju Anna spotkała brata, przy którego poduszkami ostawionym fotelu, młody chłopak stał na straży, zdając się z czułością i przejęciem śledzić w oczach chorego, czy jakiej nie potrzebował pomocy.

Jakże wam opisać tę istotę, na którą zwróciwszy się oczy Anny zaszyły łzą, prędko otartą i zagładzoną przymuszonym uśmiechem?

Twarz jego nie dozwalała oznaczyć wieku... podobna do rysów Juliana i Anny, dziecienniejszą była od nich choć starszą może, włos na niej nie porastał; oczy niebieskie ogromne, bez wyrazu oznaczonego, jakby obłąkane, ale łzawe i czułości pełne, najwięcej jej nadawały życia... Obfity włos jasny spadał na ramiona i czoło niskie rozszerzone w skroniach, wydatne... Usta, których nigdy nie otworzył uśmiech wesela ni słowo od serca, bo biedny był głuchoniemym od urodzenia, nie zamykało też żadne uczucie; w pół otwarte, ukazywały rząd białych zębów, drobnych, ostrych i błyszczących. Cała twarz na pierwszy rzut oka wydawała nieszczęśliwą, niepełną, skazaną na życie męczarni istotę, dla której ludzie mają tylko łze litości lub wstretu. Emil, pozbawiony mowy i słuchu, oprócz tego delikatny był, cierpiący, drażliwy i niekiedy niepokój jego zastraszającą stawał się chorobą. Pozostał on w latach dwudziestu kilku dziecięciem prawie, i pomimo starań siostry, matki,

brata, mimo najpilniejszego leczenia, ani sił, ani połysku myśli nie nabył. Ze wszystkich co go otaczali, najlepiej znał i najuleglej słuchał jednej siostry; jej widok go uśmierzał, patrzył na nią z upodobaniem, zatrzymywał ją gdy wychodziła, rwał się z krzesła do którego przykuwała go niemoc na wieki. Ona jedna umiała nieszczęśliwemu znaleźć zabawę, ją jedną gdy czego żądała rozumiał, a w oczach jego gdy na nią spoglądał, na chwilę myśl nawet zdawała się połyskiwać. Może gdyby Emil miał siły, gdyby mu tylko brakło słuchu i mowy, ten anioł siostra byłaby potrafiła rozbudzić w nim duszę uspioną; ale rzadko nieszczęśliwa istota podnosiła się z łóżka i zwlec mogła na nogi; najczęściej walczyła z chorobą okropną, po której przystępach na długo pozostawała bezwładną i dzikim tylko jękiem zwierzęcym, przerażała tych co się jej poświęcili.

Gdy Anna weszła, gdy ją Emil zobaczył, oczy jego uśmiechnęły się do niej, wyciągnął ręce, zadrżał i pocałował ją wabić ku sobie. Dziwny głos do którego przywyknąć było potrzeba, żeby go słyszeć bez wzdrygnięcia, wyrwał się z ust jego... Anna zbliżyła się i zlekka pocałowała go w głowę. Przymknął oczy... otworzył je po chwili i uśmiechnął się jakby jej dziękował...

W takim stanie zostawał najstarszy z rodziny Karlińskich, i nie dziw, że ilekroć przyjeżdżała matka, i widzieć go zapragnęła, serce jej boleścią się zakrwawiało na widok dziecięcia, które wołałaby widzieć w grobie, niżeli skazane na taki byt zwierzęcy, z którego boleść tylko rozbudzić go mogła... Starania siostry, brata, poczciwych sług, a mianowicie Antoniego Miazgi co się całkowicie Emila usłudze poświęcił, nie opuszczały chorego nigdy, ale niewielką ulgą dlań były. Żył, cudem

wytrzymywał napady choroby, niekiedy odzyskiwał siły, rozwijał się, i śmierć, którąby błogosławić było potrzeba. nie zdawała się bliska, owszem lekarze zapewniali, że w tym stanie długo żyć może. Brat i siostra musieli nad nim czuwać nieustannie i życie ich przykute do tej bezmyślnej istoty, zatrtnęło się goryczą codzienną. Anna tylko nie westchnęła nigdy na ciężki obowiązek, spełniała go niemal z zapalem, i uwalniała o ile mogła. Juliana od widoku nieszczęśliwego, który go zawsze zachmurzał. Długie nieraz godziny spędzała przy łóżku Emila, usiłując wlać weń pojęcia, któreby stan jego osłodziły, starając się wytłumaczyć mu byt, świat, otaczających ludzi i rodzinę. Ale praca to była napróżna, Emil nie powstał do życia... Niekiedy w oczach jego pałała jakaś iskierka, usilnie starały się one pochwycić i zrozumieć znaki, które mu dawała siostra, i po tym wysiłku niespokój tylko i rozdrażnienie następowało. Kilka tylko osób znał i słuchał: starego Antoniego, który tak się wcielił w panicza swego, że nietylko ruch jego każdy, ale to czego mu było potrzeba, przewidywał zawczasie, Annę, co go uspokajała w chwilach najgwałtowniejszych przystępów szału, Juliana, na którego patrzył z obawą. i matkę, która na nim przykre i wstrętliwe robiła wrażenie. Bytność jej pogorszała stan jego, niczem się jej ująć nie dawał, nie dozwalał zbliżyć do siebie, co nieszczęśliwą kobietę zawsze prawie o chorobę przyprawiało...

Władze, których brakło ułomnej tej istocie, całą swą nieużytą siłą przeszły w organa wzroku i w nieznany nam zmysł, który można było nazwać przeczuciem. Największą rozkoszą dla chorego było patrzeć na świat przez okno, na niebo, na słońce i gwiazdy; bawiły go

światne barwy i błyskotki, lubił obrazki i niekiedy całe dnie spokojny się w nie wpatrywał. Zmysł przeczucia, do którego już wszyscy byli przywykli, zadziwiający był w biednym głuchoniemym; gdy Anna przyjść miała, słudzy poznawali to wcześniej po zwróconej głowie Emila, która się do drzwi pochylała, po uśmiechu i błysku oczów jego... gdy Anna była cierpiącą, chorował... za przybyciem matki, nim ją nawet zobaczył, rwał się niespokojny, i jeśli mógł wstać, biegł i chował się po kątach... Tak przeczuwał zawczasie wszystko, co go dotknąć mogło, i nikt już nie zdumiewał się tej dziwnej władzy, która brak innych zastępowała w Emilu.

Drażliwy był nadzwyczajnie na zmiany, jakim ulegała natura, niepokoił się przed burzą, weselszy był w czasie pogody, miotał się, gdy wyły wiatry i szalało na dworze. Zima zwykle była mu najtrudniejszą do przebycia; latem najlepiej lubił żyć na odkrytem powietrzu i śmiał się jak zwierzątko podskakując, gdy go wyprawiano. Stary Antoni i młodszy pomocnik jego zwykle wychodzili z nim do parku, i tam na ustroniu, w cieniu, wśród kwiatów, całe dnie z nim spędzali. Emil zapatrzywszy się w niebo, idąc okiem za chmurami, uśmiechając się do nich, zapominał wszystkiego i ciężko było nieraz zwrócić go do domu, zwłaszcza jeśli wschodzącego doczekał księżyc, za którym śledził po niebie ze szczególną namiętnością, gniewając się na chmury, które go zasłaniały... rwąc się ku niemu i wyciągając ręce...

W takim to stanie był najstarszy z rodziny Karlin-skich, i łatwo pojąć, jaką żalobą okrywał dom, w którym jego choroba i niedoleżstwo były chlebem powszednim, widokiem i myślą codzienną.

## XI.

Gdy w Karlinie troskliwie chodzą około chorej, do-  
znanem wczoraj wrażeniem dotkniętej, Aleksy tymcza-  
sem spieszy do Żerbów, zadumany, nie rad z siebie, po  
raz pierwszy przerwawszy jednostajny bieg zajęć swoich,  
do których nałogowo chciał się wciągnąć — temi odwie-  
dzinami, co jak sen dziwaczny snują mu się po głowie...  
Zajrzał tylko w świat inuy i niżej się znowu zobaczył,  
niż przedtem... dostatek Karlińskich dał mu uczuć jego  
ubóstwo dotkliwiej, ich położenie towarzyskie zepchnęło  
go i upokorzyło; duma nie dozwalała pobratać się z  
Juljanem, ku któremu ciągnie go serce... i smutno...  
smutniej niż kiedy. Wszystkie pragnienia młodości, które  
był przybił pracą i milczeć im kazał, podniosły głosy  
wrzawliwe... Ale otóż i Żerby, i słomiana strzecha, i  
cieżka rzeczywistość... Aleksy otrząsł się, wymęźniał,  
przypominał obowiązki, uspokoił.

Drobna na pozór okoliczność przyczyniła się także  
do oderwania go niebezpiecznemu marzeniu. Parfen,  
który z nim jechał, w miarę zbliżania się do domu tak  
weselał, tak się rozpromieniał i rozgadawał, nie mogąc  
już uczuć swoich w sobie powstrzymać, że i swego  
pana rozruszać potrafił. Był on z Aleksym na stopie  
przyzwoitej poufałości; pan nie bronił mu nigdy być  
człowiekiem i myśli swojej wyrażać głośno; to też i  
teraz chłopak zobaczywszy Żerby, popędzając koniki, dał  
panu naukę mimowolnie, spowiadając się z tego, co  
widział w Karlinie.

— Ot i Żerby nasze, zawołał — no! chwała Bogu...  
a to nigdzie tak jak w domu, proszę pana... E! mnie

sie tam nie podobalo.

— Czemuż ci się nie podobalo?

— Albo ja wiem, odparł Parfen, ruszając ramionami, u nas lepiej!... Tam to wielkie państwo... aż strach... i dobrzy słyszę panowie, ale to ludzi nie widzi i nie rozumie, do nich nie dostąpić; ot sam gadałem z gospodarzem ze wsi, co trzy dni już stoi w branie, chcąc pana zobaczyć i z nim pogadać... A cóż! pan go pewnie odeszle do komisarza, a komisarz do ekonoma, na którego przyszedł się skarżyć... A te lokaje, to gorzej panów; ledwie to sieruniege zrzuciło, już lacha udaje, ta i gorzej pana sie dmie... U nas dwór i wieś to jakby jedno, a tu w zamku inszy naród... ani pogadać z nimi, ani pożalić się... wolę ja Żerby...

Aleksy nic nie odpowiedział, ale głębiej niż Parfen zrozumiał słowa człowieka, który wrażenia swego nie potrafił wytłumaczyć. W istocie, między tym zamkiem a wioską a ludem, między nim a szlachtą nawet nie było żadnego związku, żadnej sympatji, żadnego ze starszych węzłów co ich łączyły; rodzina Karlińskich stała przed oczami jego we właściwym świetle, w odosobnieniu, na którą skazywały ją obyczaje, endzoziemczyzna i ta chorobliwa cywilizacja martwa, co na rozerwaniu z światem otaczającym zasadza wyższość swoją. Ci ludzie byli narodem w narodzie dobrowolnie odosobnionym, kastą żyjącą w kółku własnem, obca wszystkiemu, co się w kolo nich działo i żywot mającą odrębny. A jednak powstałi i wyrosłi z łona tego ludu, z którym się tak daleko rozeszli na rozstajach życia; byli przewodnikami, wodzami, reprezentantami potrzeb, myślą, móżgiem i prawicą tych, których powolnie sie zaparli. Ztąd dziwne i fałszywe położenie, ztąd nienastanne star-



cia i uczucia nieprzyjaźne, które się z nich dobywały... Społeczność, jak człowiek chory, instynktowo się miota, gdy który z jej organów odmawia posługi, do której jest stworzony. Zapiera się go, czując w nim obcego, i usiłuje brak ten zastąpić nowym żywiołem.

Uczucie zazdrości, które mimowolnie zajęło serce Aleksego. ustąpiło miejsca politowaniu; zmierzył położenie ich i swoje, i pojął, że był częścią żywotną towarzystwa. którego tamci byli organem umarłym. Przyszła mu na myśl smutna twarz Juljana, jego bojaźliwość chorobliwa. to, co mówił o położeniu swem, i Aleksey z uśmiechem znowu powitał maleńki domek. ukazujący mu się z za zielonych gąlezi.

Żerby graniczyły z włością Karlina, wieś ta nawet należała niegdyś podobno do rodziny Karlińskich; ale nabyta przez ubogiego szlachcica, rozdzieliła się na kilka części. Na dwadzieścia kilka chat włościńskich. było tu sześciu posiadaczy. a jednym z najuboższych Aleksey i jego rodzeństwo.

Drabicy mieli tylko trzech chłopków, piętnaście dusz, mówiąc stylem urzędowym, do tego kawałek pola. po trzydzieści morgów w zmianę, kawał dobrej ogrodowej sianozęci, trochę lasu, jakąś częśćkę we wspólnej arzędzie i młynie. i najstarszą sadybę we wsi. ocienioną lipami. otoczoną sadem, wyglądającą wcale poważnie. Na to mienie tak małuczkie, Aleksey, matka i trzech młodszych braci! A jednak rzadny i pracowity nasz chłopak wiódł tak dobrze gospodarstwo, matka ze swej strony tak skapila i oszczędzała, że im chleba nie brakło, a co dziwniej, długów, niewypłat skarbowi i zaległości nie znali. Sąsiedzi. bogatsi daleko we włościach i ziemię. zapatrywali się z zazdrością na powodzenie Dra-

bickich i nie chcąc się uznać niendolnymi do zarządu, przypisywali je zawsze szczęśliwym jakimś przypadkom. Nareszcie zaczęli utrzymywać wszyscy zgodnie, że Aleksy miał najlepszy kawał ziemi, że część jego przywiązana do starego dworu, w najkorzystniejszym była położeniu i usiłowali ją nabyć nawet, ale Drabiecy sprzedawać jej nie myśleli... Jeden ze współ-posiadaczy Żerbów wprowadził ich z tego błędu: cząstka jego uważała się za najgorszą, nie mu prawie nie przynosiła, a że miał większą posiadłość o mil kilka, puścił ją dzierżawą Aleksemu; ten na niej pogospodarowawszy, zdumionym sąsiadom pokazał, że nie tyle stanowi majątek sam, który jest materiałem tylko, co ożywiająca go praca. Pola odłogiem leżące rodzić poczęły, szlachcie się polakonił i dzierżawę odebrał; w rok znowu nie miał z cząstki i powrócił ją Drabickiemu. Nie chcąc mu przyznać więcej, wszyscy powiedzieli sobie — pan Aleksy ma szczęście! i tak z tem szczęściem pozostał.

Okupywał je też niezmordowaną, wytrwałą i rozumną pracą; to co przedsiębrał, robił nie na los i traf, ale z wyrocznowaniem i znajomością rzeczy, nie szęędził siebie, nikim się nie wyręczał, niczem się nie zrażał, nikomu zbić się z tropu nie dawał, i choć mu nie jeden zazdrościł, nie miał nieprzyjaciół, bo niechęć nawet życzliwością płacić umiał i nią rozbrajał najzaciętszych.

Stary dwór, w którym mieszkali Drabiecy, położony był na końcu wioski; trzy chatki włościańskie, do niego należące, stały tuż przez ulicę tylko. Obszerny sad i wygodne, choć nieco podupadłe otaczały go zabudowania. Aleksemu nie stało na nowe, ale jakie miał, podtrzymywać umiał. Sam dom był w istocie budową może stuletnią, ale w początku postawiony z dobrego drzewa,

mocno i starannie, trzymał się jeszcze powoli, osiadając w ziemię. Wysoki dach, ganek o czterech słupach, długie a wąskie okna, poważną staroświecką nadawały mu fizjognomję, a otaczające go drzewa osłaniały zewsząd od natrętnych oczu. Przed nim obszerny dosyć, ze studnią najlepszą we wsi, dziedziniec, oficynka, stajnie, loch i czego do gospodarstwa potrzeba; wszędzie płoty porządne, drzewa niepouszkadzane, i nigdzie smutnych zwiastunów ruiny, rumowisk, gruzów i łomów. Znać było wszędzie rękę, co ładu pilnowała... ale za to nigdzie starania o wdzięk, o zabawę oka, bo na to czasu nie było w Żerbach: koryta na środku podwórka przy studni dla trzody, sznury z bielizną od starej lipy do żurawia, na płotach hładysze i garnki, w ganku zapomniane neculki i ceberki... wrota staroświeckie, słomianym pokryte daszkiem, sam dwór posyty snopkami, choć dawniej miał dach gątowy... na przeciwku dosyć szyb powybijanych i powstawianych nieforemnie. Flamanadzki pejzażysta byłby sobie upodobał ten dziedzińczyk z mnóstwem malowniczych szczegółów, ugrupowanych szczęśliwie, ożywiony w ciągu dnia drobiem, chlewnią, bydłem i końmi, osłoniiony zewsząd drzewy i dzikimi kwiaty; ale przywykły do wytworności człowiek ze świata innego, ze świata zabawy i spoczynku, odwróciłby się ze wstrętem od gwarliwej tej zagrody, na którą trudno było zajechać większym powozem i stadem koni.

Aleksy zbliżając się do dworu, wysiadł z bryczki i wstąpił do chaty Tywona, dowiedzieć się co w polu robią; tymczasem Parfen pobiegł do stajni, bo mu pilno było do dworu, a jak tylko konie zobaczyła w dziedzińcu, pani Drabicka wybiegła się dowiedzieć o synu,

o którego już była niespokojną. Za nią wyskoczyli chłopcy i służące. i z ganku ozwały się głosy niecierpliwe:

— A gdzie panicz? a gdzie Aleksey?

Prawie w tej samej chwili, gospodarz nie zastawszy Tywona w domu, wbiegł w bramę i sam się ukazał na dziedzińcu. Naówczas i bracia i matka i stary Kurta wyszli wszyscy przeciwko niemu z niepokojem i radością.

— Cóż to tak długo bawil? zapytała pani Drabicka.

— Zaraz, zaraz, opowiem gdzie byłem i co mnie wstrzymało, odpowiedział młody człowiek. całując rękę matki, ściskając braci, witając się z psem, który wszystkich rozpychał, o swoją dopominając się część.

Pani Drabicka, matka Aleksego, była nie młodą już kobietą, na której twarzy, dosyć pospolitej i niepięknej, praca i strapienia zatarły wszelki wdzięk, jaki mieć mogła w młodości. Wielka tylko energia i siła duszy zachowały się na obliczu pokrytem ogorzelizną i marszczkami. Była to jedna z tych twarzy, które nie mówią zrazu, w które się wpatrzeć potrzeba. by w nich charakter wyczytać; których rysy zapominają się łatwo, a całość tkwi jednak w pamięci. Włos już siwiejący otaczał skroń sfaldowaną i żółtą, oczy wielkie, ciemne. miały wiele bystrości i rozumu, całość raczej surową była niż miłą, ale usta i wyraz ich pełen dobroci łagodził nieco znaczenie rysów obleczonych smutkiem zarazem i powagą. Nie pociągala ona na pierwszy rzut oka, ani starała się być miłą, ale poznawszy ją bliżej, wiedziałeś, że na serce jej rachować było można. Czuła też nie była, ale czuć umiała głęboko. Jak wszyscy prawie ubodzy, w zapasach z losem i ludźmi, nie łatwo

wierzyła: pierwszym jej pornszeniem była może nieufność i obawa, ale gdy raz przemogło się to wrażenie, otwierało się serce miłością chrześcijańską, czynną i wielką.

Kobietę tę potrzeba było znać blisko, widzieć ją co dzień, aby ją ocenić; obcy zwykle się na niej nie poznawali.

W pożyciu codziennem była to przedewszystkiem matka rodziny i gospodyni, niekiedy nawet za surowa, za mało pobłażająca, ale prosto iść umiejąca do celu, który widziała jasno i zdrowo. Gderliwa, gadatliwa, nie pochlebiając nikomu, robiła sobie nieprzyjaciół słowem zbyt szczerem, a jednak z dobrego pochodzącem serca: obrażona, śmiała się i nie pamiętała urazy, gotową będąc z pomocą nieprzyjacielowi, ale mu znowu gorzkiej nie oszczędzając prawdy. Dzieci obawiały się jej i kochały ją zarazem; z między nich serce jej wyróżniało tylko Aleksego, bo na nim i dla reszty budowała przyszłość; tu stosunek matki do dziecięcia zmienił się prawie, tak w nim szanowała głowę domu i gospodarza; wszakże jeśli najstarszy pobłądził wedle jej przekonania, nie wahała się mu powiedzieć co myślała, nie dobierając wyrazów na obwinienie potrzebnej nauki.

Trzej bracia Aleksego, z których najstarszy kończył szkoły, a najmłodszy je poczynął, dorodne chłopaki, wychowane surowo i po męsku, i do siebie i do niego wszyscy byli podobni. Nie odznaczała ich ani piękność rysów twarzy, ani szlachetność postawy, ale zbudowani byli silnie, zdrowi, weseli, i z oczów ich patrzyło nieleniwe pojęcie, dobrze wróżąca ciekawość.

— No! gadaj-że gdzieżeś to bywał Aleksey? — zawołała pani Drabicka, ja się ciebie jeszcze wczoraj spodziwiałam, choć to deszcz lał, aleś ty nie piecuch, że-

byś się zląkł, kiedy ci trochę za kołnierz naciecze!  
A tu dziś bez ciebie poszli kopy rozstawiać, lichy wie  
co porobią, i pszenica przepaść gotowa, jak porośnie!

— Zaraz, zaraz matulin, rzekł Aleksy, już do Ty-  
wona wstępowałem i na pole pojedę, kazałem sobie  
konia kulbaczyć... Ludzie wyszli od dawna... nie ma  
się czego obawiać, bierze się na pogodę.

— A, wierz ty tej pogodzie! ja wolę pszenice w sto-  
dole, to pewniejsze... I cóż to ciebie tak wstrzymało?...

— Naprzód jarmark, odpowiedział Aleksy, wchodząc  
do domu, a potem...

— A potem? podchwyciła matka...

— Dziwny przypadek!

— Przypadek! powtórzyli bracia i matka obstępując  
Aleksego — miałeś przypadek?...

— Nie wiem jak to nazwać, spotkanie... Zajechałem  
był nad wieczór do karczmy traktowej, żeby trochę  
koniom wypocząć i choć deszcz lał, mieliśmy z Parfe-  
mem ruszać dalej, gdy trafem nadjechał mój dawny  
znajomy i towarzysz uniwersytecki, pan Julian Karliński.

— Karliński! wykrzyknęła matka, z Karlina! do-  
prawdy! i cóż?

— Naturalnie, gdyśmy się poznali, nie chciał mnie  
puścić, musiałem z nim nocować... Tymczasem przy-  
jechał posłaniec, że matka jego...

— Pułkownikowa?

— Tak, pani Dolrio, zachorowała; pojechałem po  
Grebera, zawiozłem go do Karlina i zamtąd dopiero  
tu powracam.

Matka bacznie spojrzała w oczy synowi, który się  
mimowolnie zarumienił, i pokiwała głową.

— Otóż masz! — zawołała ruszając ramionami —

wpadliśmy w tę łapkę, której tak długo unikaliśmy... darmo ci odradzałam, żebyś się temu paniczukowi nie przypominał i stosunków nie odnawiał; los chciał inaczej... Cóż robić! cóż robić! ale to mnie martwi! Pewnie musiał być grzeczny, chwycił Aleksego za serce, ot i gotowa z zamkiem przyjaźń, a to dla nas szlachty ubogiej nie do rzeczy...

— Moja matuniu, odparł trochę dotknięty wymówkami Aleksy — mógłbym zrobić inaczej, godziło się uciekać lub odpowiedzieć obojętnością na przyjaźń szczerą, jaką ma dla mnie?

— A na co tobie ta pańska przyjaźń? ofuknęła się pani Drabicka — po co? po co? Głowe ci tylko obalamuci, na wydatki niepotrzebne narazi, rozpróżnujesz się, rozjeździsz, albo on tu ciągle zaglądać będzie i truć nam czas daremnie... Już powiadam ci, że tego nie lubię... co prawda, to prawda...

— Moja droga matko, odpowiedział szybko Aleksy, całując ją w rękę, naprzód, stosunków tych, choćem ich może pożałował, choć za nimi tęskniłem, nie starałem się odnowić; powtóre, stało się to przypadkiem, a dziś jeszcze nie idzie za tem, żebyśmy żyć z sobą mieli, choć biedny Julian bardzo tego zdaje się pragnąć... a to tak dobry człowiek!

— Dobry człowiek... wszyscy oni dobrzy ludzie, choć do rany przyłożyć, odezwiała się matka, ale nam nie żyć z nimi; oni ani czasu, ani pieniędzy nie umieją cenić, my się przy nich popsujemy, a oni nie poprawią. Żyjmy ze swymi...

— I owszem, matko kochana, żyjmy ze swymi, odpowiedział Aleksy, — ale jakże mam począć? radź mi, będę chętnie posłusznym, nie tęsknię za innym światem...



— O już to balamucisz, kochanku, zawołała matka, niby ja tego nie rozumiem, że ty musisz, mądrzejszym będąc od nas, wydzierać się do tych co ciebie lepiej pojmą, i którym głową równym jesteś... ale nie myśl, żebym ja znowu przez miłość własną przykuć cię chciała do naszej strzechy słomianej. Dla ciebie ja to robię, że cię wstrzymuję... nie tam prócz utrapienia nie zyskasz... Choćbyś był nie wiem jak mądry, choćbyś im był równy sercem i głową, nigdy tam ani szczerzej przyjaźni, ani braterstwa i równości nie znajdziesz; bawić ich będziesz musiał, służyć im, poświęcać się dla nich, a za to, gdy czas będą mieli i nikogo lepszego nie znajdując, uśmiechną ci się czasem zdaleka, kiedy ich nikt nie zobaczy. Wierzaj mi, wierzaj... poświęcą cię potem lada błaznowi z uperfumowaną główką i tytulikiem podrobionym...

— Kochana matko, wszystko widzisz czarno... ależ znowu ja nie myślę nabijać się nikomu, nawet Julianowi...

— Co to gadać! stało się, nie ma co narzekać, tylko ci powiem szczerze, że temu wcale nie rada... Darmo, Julian tu przyjedzie, bo się nudzi, ciebie pociągnie, poznasz się tam z innymi, będziesz musiał jeździć, będziemy musieli przyjmować i rady gospodarstwu nie dasz i dom ci obrzydnie, bo się do pańskich wygódek nałożysz! A to tak łatwo! Ale gadajże mi choć jak to było?

Otoczono go kołem i Aleksey z najdrobniejszymi szczegółami opowiadać musiał i spotkanie w karczmie, i rozmowę swoją z Julianem, i przyjęcie na zamku. Nie pominął widzenia Anny, nie taił się z wrażeniem, jakie na nim bytność u Karlińskich zrobiła, słowem wypowiadał się szczerze, a matka smutnie tylko słuchając go, poruszała głową, ale już nic więcej nie po-

wiedziała. Przyprowadzono bułanka przed ganek osio-  
dlanego, brat drugi naparł się jechać z Aleksym w pole  
na małym koniku, którego Parfen mu zaraz podał, i  
pani Drabicka obu ich wyprawivszy do gospodarstwa,  
sama poszła pochmurna do swoich zwykłych zatrudnień.

## XII.

Już od dni kilku bawiła w Karlinie pani Delrio, a  
stan się jej nie polepszał; posłano, dając znać pułko-  
wnikowi, który uspokojony, nie pośpieszył do żony;  
doktor Greber wciąż bawil jeszcze, środkami anti-ner-  
wowemi łagodząc rozdrażnienie biednej kobiety; ale te  
nie wiele skutkowały. Anna i Julja wciąż siedzieli przy  
matce nieodstępnie, a ilekroć które z nich oddalić się  
musiało, smutek pułkownikowej powiększał się do tego  
stopnia, że ją wracając we łzach zastawali. Wedle zwy-  
czaju ściśle zachowywanego w Karlinie, chociaż Julian  
przykazał surowo, żeby prezesowi Karlińskiemu o przy-  
byciu pułkownikowej znać nie dawano, trzeciego dnia  
ktoś potajemnie mu oznajmił o tem, i pan prezes zaraz  
przyjechał, jak zwykle, rachując na to, że przytomność  
jego dostateczną będzie na przyspieszenie wyjazdu pani  
Delrio.

Pierwszy to raz może odwiedziny stryja, którego  
kochali Julian i Anna, poświęcenie jego dla siebie umie-  
jąc ocenić, przykre im były prawie, rozumieli ich zna-  
czenie, a stan matki trwożył dzieci nie bez przyczyny.  
Chociaż stryj Paweł najgrzeczniejszy był dla dawnej  
bratowej, choć między nimi nigdy do ostrzejszego tłu-  
maczenia i wymówek nie przyszło, on i ona nienawi-  
dzili się wzajemnie; Paweł czuł do niej żal za brata i

darować nie mógł powtórznego zamażpójścia; ona widziała w nim cień nienawistnego męża i prześladowcę, który jej odebrał dzieci, nie chcąc zawierzyć sercu macierzyńskiemu. Pan Paweł był nadto grzeczny i zbyt wysoko godność swą cenił, by się miał na eksplikacje narazić lub otwarcie okazać nieprzyjaźnym, ale rodzaj nawet grzeczności, z jaką był dla pułkownikowej, zimnej, wyrachowanej, prawie przesadzonej, wielkie miał znaczenie, na którym omylić się nie mogła. Nigdy nie powiedzieli sobie co czuli, ale na chwilę nie łudzili się, żeby wstręt i niechęć ta przezwyciężone być mogły.

Prezesowi dosyć było przyjechać do Karlina, żeby przybyciem swoim pułkownikową wypędzić: nigdy też dłużej trzech dni zabawić jej nie dał u dzieci, a gdy te do matki pojechały, w parę dni zwykle sam po nie się stawił. To odciąganie Juljana i Anny od matki nadto było krzywdzące dla niej, by ja do reszty na prezesa nie rozniewało, ale cierpieć musiała i znosić po cichu to prześladowanie, do którego po części słuszne miał prezes powody.

Prezes, jak z twarzy tak z charakteru, wielce przypominał nieboszczyka chorażyca, od którego tylko o rok był młodszym; wychowanie usposobiło go do tych samych losów, a skłonności tylko nieco je odmieniły. Cudzoziemiec jak tamten, Francuz przede wszystkim, wielki wielbiciel cywilizacji Zachodu, starał się zetrzeć z siebie, jak zmazę grzechu pierworodnego, wszelki ślad i piętno pochodzenia; uczynił się obywatelem świata, Europejczykiem, wstydził niemal obyczajów domowych i przeszłości nie lubił. Podróżował wiele, pamiętał dużo, głowę miał otwartą, ale hołdował zdaniu wieku i klękał przed pozorem prawdy, krążącym w wyższej towarzystwa sferze,

powtarzając uległe, co gdzieś za pewnik przyjęte zostało. Dla nadania sobie tej barwy kosmopolity, zrzekał się sądu, indywidualności swojej, samoistniejszego życia. Nie prędzej wychodził z oczywistego błędu, aż wszyscy się już z niego otrzęśli; wówczas i on za tłumem idąc, zwracał się na drogę nową.

Lubiąc świat i wszystkie jego próżności, życie, zabawy, rozrywki, próżnowanie, pan Paweł miał więcej jedną namietnością od brata: był próżny i dumny, potrzebował znaczenia i starał się o nie, szukając go w urzędach, w dekoracjach, w stopniach hierarchii służbowej. To przynajmniej miało tę dobrą stronę, że pan Paweł brał udział w życiu czynnem i nie odcinał się od niego, owszem usiłował w niem zająć stanowisko jak najokazalsze. Jakkolwiek formy miał najgrzeczniejsze i wielce powabne, w obojętności z ludźmi był pobłażający, serce miał poczciwe i dobre, duma, która się na wierzch przez to wszystko przebijała, zrażała ku niemu, i czyniła go prawie śmiesznym.

Stopniami idąc od powiatowego marszałka, pan Paweł starał się o prezesostwo, które otrzymał, a dziś był w trakcie ubiegania się o marszałkostwo gubernskie, cel życzeń i pragnień tajemnych, których dlatego tylko nie zdradzał, że osiągnięcia ich nie był pewnym. Zabiegi jego, zresztą uczciwe, ograniczały się jednaniem sobie przyjaciół między osobami, jakkolwiek wpływ posiadającymi. Nie pominął on żadnych imienin znaczniejszych w gubernii osób, żadnego balu w mieście, przyczyniał się do wszystkich przyjęć uroczystych, kilka razy do roku pędził pocztą z powinszowaniami stopni i krzyżów, słowem, starał się być jak najlepiej widzianym, szlachcie ujmując popularnością, aby ją do wyboru nakłonić. Dom

jego ustawicznie otwarty, okazywał, że przyszły wysoki urzędnik nie szczędziłby kosztu na okazałe reprezentowanie szlachty; gorliwe wstawianie się w interesie każdego przekonywało, że obowiązku opieki i pośrednictwa dopełniać będzie serdecznie... Ale! ale! niestety! daleko mu było jeszcze do tego pożądanego munduru i tytułu; a nikt mu tyle nie szkodził co pułkownik Delrio, który z nim będąc na zimnej grzeczności, z żoną podlał nienawisć ku prezesowi.

Prezes mógł mieć lat pięćdziesiąt, niektórzy dawali mu nawet więcej, ale na twarzy jego nie widać było tego wieku: świeży był, czerstwy, bardzo przystojny jeszcze i trochę tylko łysy. Słusznego wzrostu, suchy, wysmukły, dobrze się ubierając. postawę miał tak szykowną, że z dala na młodzieńca wyglądał. Trochę też może nadto pamiętał o tem, że był piękny, a za mało, że nim być przestał... ubierał się wytwornie, gonił za modą i choć żonaty, przy kobietach nazbyt był galantem.

W pierwszej jeszcze gorącej młodości, dość nierozważnie ożenił się był pan prezes z kobietą bardzo piękną, rozwódką czy wdową po jakimś generale, Niemką, kobietą europejskich jak on salonów, która kraju ani pojąć, ani do niego się przyzwyczaić nie mogła. Pani von Dragen nie przyniosła mu nic w posagu prócz ślicznej, wybielonej i wyróżowanej twarzyczki, którą w pędzie róż i bielidło zniszczyło, nerwów, spazmów, niepomiarowanej potrzeby bawienia się, i wielkiego talentu na arfie, na której grając, miała zręczność ślicznemi pochwalić się rączkami. Równego z prezesem wieku, postarzala daleko prędzej od niego, co ją naturalnie w najgorszy wprawiało humor, i kaprysila jeśli siedziała w domu, do czego już przywykł pan Paweł tak.

że nawet na to nie zważał. Co roku niemal jeździła do wód, do morza, do powietrza, do słońca, szukając roztargnienia po całym świecie, a nigdzie nie prócz ziewania nie znajdując. Dzieci nie mieli wcale, i to jeszcze ich nieszczęśliwsiymi czyniło oboje; prezes wszakże jak skoro jejmość wyprawił z domu, humor odzyskiwał, i kawalerskie swobodne wiódł życie... Uczucia nie zużyte w sercu jego wszystkie się przelały na dzieci brata Jana, na Annę szczególnie; był ich opiekunem wraz z Atanazym, drugim bratem chorążycą, i cały się im poświęcił. Mieszkając niedaleko, w Zagórze, nie spuszczał ich z oka, czuwał, troskał się, zarządzał majątkiem, pomagał w interesach, i kochał ich jak własne dzieci, kochał ich jeszcze całą nienawiścią, jaką miał ku pułkownikowej, starając się im zastąpić matkę, której przystępu bronił do Anny i Juliana.

Jak Anna była właściwie duszą Karlina, tak prezes w nim gospodarzem; Julian robił co chciał i ile chciał, nikt mu się nie sprzeciwiał, nikt nim nie kierował; ale prezes praktyczniejszy, pracowitszy, czuwał zawsze, i nie dając czuć tego, że radzi lub pomaga, oszczędzając miłość własną słabego Juliana, zostawując mu nawet wszelką zasługę, umiał tak posilkować mu, że Julian mimo wstępu do pracy i interesów, rządził się bardzo dobrze. Powodzenie to dziwiło go i zachęcało, nie miał wygórowanej zarozumiałości, chętnieby był się uznać niezdatnym, żeby mu pozwolono próżnować, a prezes tego nie dopuszczał.

Nic nie powiedziano pułkownikowej o przyjeździe prezesa, ale że to był trzeci czy czwarty dzień pobytu jej w Karlinie, przeczuwała go już niespokojna. Julian z Anną, jak tylko dojrzeli kocz pana Pawła, porozu-

mieli się wzrokiem, i brat powoli wysunął się z pokoju. Zastał już prezesa chodzącego po salonie i szukającego zwierciadeł, w którychby mógł włosy, suknie i cały swój strój poprawić, bo o to dbał nadzwyczajnie.

— A! kochanego stryjaska!

— A! kochanego bratanka! z uśmiechem powitał go pan Paweł.

— Jakże zdrowie?

— A wasze?

— My dobrze, ale mama, która tu do nas przyjechała, dość mocno zachorowała...

— Po cóż bo jeździ! po co jeździ, z udaną dobroduszością rzekł prezes, idąc do zwierciadła — moglibyście do niej pojechać na dzień jaki... z jej zdrowiem...

— Chciała widzieć Emilka...

— Nie mu teraz nie pomoże! pouro rzekł prezes — no! a Anusia?

— Przy matce...

— Pułkownikowa nie wychodzi?

— Nie, od trzech dni Greber jej zakazał...

— A! jest i Greber!

— Mama bo wcale była nie dobrze...

— A pułkownik nie przyjeżdżał?

— Nie kazała mu pisać, że chora...

Prezes lekko ramionami ruszył.

— Wątpię, żeby tu jej było nawet wygodnie... i o męża musi być niespokojna...

— Ale i wyjechać jej niepodobna mój stryju, niepodobna, dobitnie rzekł Julian — musi zabawić jeszcze dni kilka, dopóki sił nie nabierze...

— Nic nie mam przeciwko temu, rzekł prezes suchono? a widzieć się z nią nie będę mógł?



Juljan trochę się zmieszał.

— Mój drogi stryju, rzekł zbliżając się do niego... ty mnie rozumiesz... proszę cię, nie przymuszaj ją do widzenia się z sobą, ona cię ceni, ale wiesz jak ją to porusza...

— Nie wiedziałem, że to ją porusza... ale kiedy chcesz, widzieć się nie będę... nigdy nie byłem ani natretem, ani niegrzecznym...

Juljan zbliżył się, by go uściskać, a prezes ze łzą w oku do piersi go przytulił; w tem wszedł Greber.

— A! pana konsyljarza! odezwał się pan Paweł, witając go z daleka i obojętnie... — Julku... każno mi dać śniadanie...

Juljan wyszedł, prezes odwrócił się do Grebera.

— Co tam pani pułkownikowej — zapytał — czy istotnie chora, czy jej tylko chorować potrzeba?

Greber polityk, ruszył ramionami, nie wiedząc co odpowiedzieć.

--- No! jakże, juściż trzy dni ją kurujesz, musisz pan wiedzieć co jej jest?

— Coś nerwowego, trochę kataru, mały nieład w funkcjach żołądkowych...

— No! to chwała Bogu, że nie coś straszniejszego, rzekł prezes... — wody pomarańczowej, magnezji i będzie zdrowa; a na katar, doktorze, doświadczyłem, nie lepszego *nad przejazdżkę* i świeże powietrze.

Greber się nśmiechnął, Juljan wszedł i rozmowa się przerwała... gdy w tejże chwili znać dano, że pułkownik przyjechał. Prezes nieco się zmarszczył, nie potrafił pokryć przykrości, doznanej w pierwszej chwili, ale natychmiast siłą woli wesołość i swobodę odzyskał. Był bowiem panem siebie, jak mało ludzi.

Prezes i pułkownik, dla powierzchownego człowieka, prawie byli jednym typem, różnili się jednak wielce od siebie; choć na pozór do jednej klasy towarzystwa, do jednego należeli cechu, wielki odcień dzielił ich przecie. Oba byli z profesji pięknymi, i oba pamiętali o tem dłużej, niż wypadało na poważnych ludzi; oba lubili świat i próżności jego, oba wykształceni zostali za granicą i cudzoziemską wytworną mieli formę towarzyską; spostrzegłeś jednak łatwo, że między nimi ogromna była przestrzeń. Pułkownik udawał pana, nie czując się nim, prezes nie będąc nim z majątku, przekonany o pochodzeniu i wsparty wspomnieniami, nosił swe państwo w sercu i na czole; pułkownik nie umiał dać pokrywki przystojnej swym namiętnościom, kompromitował się grą niepomiarowaną, hulanką i ładnemi twarzyczkami, dla których słabość jego była aż nadto widoczną i bardzo niestaranie pokrytą; prezes zarówno słaby, nie dawał się nigdy schwytać na dowodach swych słabostek; mówiono, domyślano się, ale nikt mu nie mógł postawić w oczy świadków winy, i pan Paweł głośno i śmiało o moralności miał prawo rozprawiać.

W sposobie obejścia się obn była też różnica wielka. Prezes naturalnie, bez przymusu grał swoją rolę, gdy pułkownik doskonale się w nią wcielał, dawał uczuć, że dla niego była przybraną. Grze nic nie było można zarzucić, ale czuleś aktora.

Ludzie ci nie lubili się wzajemnie, byli z sobą chłodno, grzecznie, obojętnie. Pułkownik dawał czuć trochę urazy, prezes trochę wzgardy, spotkawszy się jednak w towarzystwie, zwłaszcza liczniejszym, nie dawali poznać wstrętu, jaki czuli do siebie. Prezes mówił przed obcymi o pułkowniku bez widocznej niechęci,

omijając ten przedmiot. Pułkownik nie zdradzał się przed najpoufalszymi i przechwalał nawet stosunkami z panem Pawłem. Oba zresztą spotykali się bardzo rzadko i nie bawili długo razem...

W sieniach już dowiedziawszy się o prezesie, pułkownik trochę się zmięszał, ale zaraz to pokrył wykrzyknikiem: A! tak dawno nie miałem przyjemności widzenia go... i wszedł do salonu z uśmiechem...

Prezes tem grzeczniejszym chciał być na teraz, że pragnął dać uczuć pułkownikowi, iż się tu uważa za gospodarza, a jego za obcego i gościa; powitał go więc bardzo czule i z nadmiarem troskliwości o konie, o mieszkanie, o przyjęcie.

Wysoki, barczysty, pięknie zbudowany, Delrio w troskach małżeńського żywota już był posiwiół i trochę zapadł na nogi, nieważ przystępy pedogry, do której się nie przyznawał, a że mu przypomnienie jej przykrość wyrządzić mogło, prezes starannie dopilnował sadzając go, by mu w nogi ciepło było.

— A co? starzejem się panie pułkowniku, rzekł wesoło, coś i ja zaczynam czuć, że się młodość wyeksponowała!

— Ja się do tego nie przyznaję! odparł Delrio.

— Źle robisz, przerwał prezes — ludzie się zaczęli więcej niż jest domyślać! potrzeba ich uprzedzić... Nie widziałeś się z panią, zapytał po chwili.

— Nie... ale sądzę, że wyjdzie do salonu...

— Wątpię, odparł pan Paweł chłodno — podobno nie bardzo zdrowa?

— Nie zdrowa? zapytał w Grebera oczy wlepiając pułkownik — doprawdy?

— To nic, nic, tak... nerwowego coś.

— A! nerwowego!

— My się to na tem nie znamy, panie pułkowniku, przerwał prezes — i moja nerwowa; szczęściem, że jej w tej chwili nie ma... gdyby gdzie nerwy zgubiła w drodze!

Nie do smaku widac był żart panu Delrio, bo nań nie odpowiedział, uśmiechnął się i wzięwszy za kapełusz, pospieszył do żony; Greber podjął się mu przewodniczyć; prezes sam został z Juljanem.

### XIII.

Nie wiem jakim sposobem pułkownikowa mogła się tak szkaradnie na mężu swoim omylić: nie było bowiem dwóch charakterów sprzeczniejszych na świecie, nad te, jakie los sprzął, łącząc ich z sobą. Ona, cała była w uczuciu, sentymentalizmie i obłokach, on nigdy do tej zaczarowanej nie zaglądał krainy; ona brała wszystko serio, poważnie, szczerze, on powierzchownie i szyderczo. Brak dowcipu rzeczywistego, sądu, wiadomości i uczucia zastępował sarkazmem, zasłaniając się żartami od wszelkiej, jaka go mogła spotkać, napaści. Umysł jego tak był nabrał skłonności do widzenia świata i ludzi ze strony jedynie śmiesznej, że innej już się w nich nie domyślał. Wprawdzie zręcznie i prędko chwycił pułkownik każdy uarów i słabość, ale po za niemi nic nie widział. Dopóki się jeszcze starał o żonę, zmieniał czasami ton swej rozmowy i ubierał się w zamyślenie, w uczucie, w smutek nawet, ale dziś czasy tej maskarady już były minęły. Małżonkowie znali się dobrze, i pułkownikowa znosiła przykładowie najantypatyczniejsze dla siebie usposobienie mężowskie, który, gdy się chciał jej

przypodobać, sadził się na dowiep, i nim ją zameczał. Dawał biedak co miał...

Wejście jego do pokoju, w którym pułkownikowa siedziała z Anną, wzbudziło w niej naprzód okrzyk podziwienia, bo się do niego przywiązała małogowo i widok jego nie mógł ją nie poruszyć na chwilę, potem wyrło się na jej twarzy widocznem wrażeniem przykrości. Pułkownik przystąpił do niej z oznakami niepokoju, czułości, ale wprędce zmienił ton rozmowy, przechodząc do zwykłych żarcików. Anna nie długo zabawiwszy, wyszła z Greberem, a małżonkowie pozostali sam na sam.

Nie na rękę to było panu Delrio, który unikał przydługiego pozostawania z żoną, nudząc się jej chorobliwą uczuciowością, ale usiadł przy niej, rozpoczynając rozmowę od ucałowania jej rącek...

— Nie uwierzysz, odezwiała się pani, jak byłam źle, gdyby nie doktor Greber...

— Ale mówił mi już, chwalił się... nerwy, moja duszko.

— Wy tak lekko traktujecie nasze cierpienia!

— Nie chciałbym je brać inaczej, zbyt by to było bolesnem dla mnie; ale dzięki Bogu, przeszło to wszystko, i znówuśmy zdrowi, *chère ange*... a młodzi! a piękni! Jakie masz dziś oczy!

— Z gorączki!

— Gdzież tam! życie z nich błyska... a może trochę miłości... trochę tęsknoty...

Pułkownikowa uczuwszy nieprzyzwoitość męża, spuściła wzrok i zarumieniła się jak piętnastoletnie dziecko; on ją objął z uśmiechem rozpustnika i w czoło pocałował.

— Tylko mi nie choruj, rzekł wesoło — ile razy do

tego Karlina przyjedziesz, pełnego widm i wspomnień czarnych, zawsze to zdrowiem przepłacasz.

— A! tu moje dzieci! szepnęła pani Delrio...

— Któż ci winien, że ich nie masz więcej? odezwał się krotofilnie pułkownik — trzeba było postarać się, żeby i w Lutkowie z para ich krzyczało ci nad głową...

— Bóg nie chciał...

— Nie mieszajmy do tego pana Boga! paniś sama winna! Nie dosyć kochasz męża...

— Mój Wiktorku!

— Moja Tekluniu!

Delrio jeszcze parę razy pocałował i popieścił żonę, i dopełniwszy tego co miał za obowiązek, odezwał się siadając w krześle...

— Kiedyż pojedziemy?

— Nie wiem, doktor mi nie pozwala.

— Ale ten djabeł — prezes już się przystawił!

Pułkownikowa porwała się z krzesła cała zmieuiona, pobladła i wzruszona.

— Prezes! jest?... Kto ci mówił?

— Widziałem go... słodki jak lukrecja... przyjmował mnie przed chwilą...

Pułkownikowa usiadła... — A! przyjechał! odpowiedziała — masz słuszość, potrzeba jechać... nie możemy żyć pod jednym dachem...

— Nie powiem i ja, żebym go ubóstwiał, rzekł Delrio, ale dzień z nim jakoś wyżyjemy... Jużciż znowu potrzeba mu okazać, że się go nie boimy, i że od niego nie uciekamy.

Pani nic nie odpowiedziała, spnęła głowę, zasmuciła się, zamyśliła.

— No! rozpędźże te chmury, które prezes z sobą

przywiózł, odezwał się mąż..., nie myśl o tem — spojrzij na mnie temi swemi piętnastoletniemi oczkami, które mnie przepalają do kości... Tekluniu! *chère ange!*

Próżne były starania pułkownika, usiłującego w żart obrócić zły humor żony, pani Delrio pozostała chmurna i gniewna...

— Serce, rzekł po chwili pułkownik — z tego wstrętu do prezesa, mógłbym dziwne robić wnioski: jedna tylko miłość może tak z fermentacji cukrowej przejść w octową...

Pułkownikowa na niewczesny koncept ruszyła ramionami.

— A! zawołała, — nie wiem, jak masz serce tak mnie męczyć, pod pozorem rozweselenia... Prezes... to najnie-nawistniejsza dla mnie na ziemi istota!

— Nie będę go bronił! odezwał się pułkownik — możesz go nienawidzieć, ile ci się podoba... ale za cóż mnie przyjmujesz tak smutno i chłodno? Wierz mi, że nie zawarłem żadnego przymierza z prezesem...

Anna wbiegła, zapraszając pułkownika na śniadanie; zdaje mi się, że oboje bardzo temu byli radzi, gdyż pan silił się na koncepta, których nie miał czem podsycać, a pani potrzebowała być samą... pożegnali się wejrzeniem tylko, a Anna zmieniając ojczyzna, pozostała przy pułkownikowej.

#### XIV.

Z tej próbki dorozumieć się łatwo, jakie było życie w Karlinie. Pałace, na które spoglądając zdaleka, nie jeden ubogi wzdychał, domyślając się w nich wesela, zbytku, rozkoszy i dni z złotej snuty przędzy, zamy-



kały w sobie kilka istot, tak wielkie dźwigających brzemie, jakimby silniejsze i wytrwalsze nie podolały ramiona; nieszczęśliwego, skazanego na żywot dzikiego zwierzęcia i połączonych z nim, którzy nań patrząc z politowaniem, cierpienia jego ulżyć nie mogli, ani się w swojej boleści pocieszyć; matkę oderwaną od dzieci, sieroty, którym nie Bóg, ale ludzie wydarli rodzicielski uścisk, wreszcie kilka zbliżonych do siebie istot, dreczących się nawzajem. Nie było szczęścia w Karlinie, bo nie ma go nigdzie na ziemi, ale tu brakło nawet spokoju, którym czasem błogosławi Bóg wybranym ziemi katkom. Julian męczył się interesami, w których smakować nie mógł, odosobnieniem swoim, pracą, do jakiej był obowiązkiem zmuszony, miłością, której nie kosztował, wiadł i schwał w oczach stryja i siostry; Emil był dla niego także powodem ciągłej żaloby i trucizną każdej chwili wesela; Anna, przy cięższem posłannictwie, większem zaparcin się siebie, delikatniejszym jeszcze zdrowiu, siłą jednak przewyższała brata i czuwała jak duch opiekuńczy nad tą smutną pustką, wśród której często głos tylko puszczyka i jęk zwierzęcy Emila rozlegał się wśród długich nocy jesiennych. Poświęcenie jej nie miało granic; wprędce bardzo, ledwie wyszedłszy z dzieciństwa, zrozumiała swe przeznaczenie, i bez westchnienia, bez łzy, bez żalu, z uśmiechem anielskim, cała mu się oddała. Dla Emila i Juliana siostrą, towarzyszką, matką być musiała, zastąpić im wszystkich, przeczuć życie, domyślić się ludzi i nawet w kierunku ogólnym spraw rodzinnych, często znaczące jej słowo, na stronę prawą przechylało szalę. Prezes kochał ją jak dziecko, więcej niżby własną córkę miłował, i przenosił ją nad Juliana może, oceniając jak zasługiwała: słowo

Anny prawem było dla niego. słuchał jej nawet, gdy się z nią nie zgadzał, i zdaniu jej ulegał z pełną wiarą w jego niechybność, poświęcając mu nawet przekonanie swoje.

Zresztą, wiarę tę, poszanowanie, uwielbienie dla pięknej Anny dzielali ci co ją otaczali bez wyjątku, tak umiała urokiem łagodności, miłością, wylaniem się swem pozyskać sobie świat cały.

Dnia tego, któregośmy zajrzeli do Karlina, prezes przeciwko zwyczajowi swemu, ubłagany przez Annę i Juliana, nie chcąc przeciwnościami odwiedzinami zmuszać pułkownikowej do wyjazdu, sam po objedzie odjechał, przepraszając pułkownika, że choć się uważał za gospodarza domu, dla interesu gościa opuścić musiał. Użyło to pani Delrio, gdy się dowiedziała o pospiesznem ustąpieniu prezesa i domyśliła się, że je była winna Annie. Sam pułkownik także lepszy humor odzyskał, ale nim nikogo ubawić nie potrafił, prócz doktora Grebera, mającego za obowiązek śmiać się z conceptów nietylko pacjentów swoich, ale całej ich familii. Pułkownikowa chciała znów odwiedzić Emila, ale jej to odradzono, składając na jego stan rozdrażnienia, a w istocie więcej jeszcze obawiając się o nią.

Oprócz Anny, wesoło pracującej i nie mającej czasu się nudzić, wszyscy zresztą smutne dni pędzili na starym zamku. Julian szczególnie w chwilach wytchnienia czuł nad sobą ten ciężar życia, ten brak celu, bez którego tęsknota śmiertelna ogarnia człowieka. Pozbawiony uczuć gwałtownych, z natury bojaźliwy i cichy, obracając się w kółku jeduostajnem i nie wywołującym silniejszych wzruszeń, nie czując się pociągnięty w żadną stronę przeważniej i potężniej, był w tym stanie odrę-

twienia, pół-suu, zdrzemanie moralnego, z którego chyba umysłowe zajęcie, lub burzliwa wyrwać go mogła namiętność. Praca ciężka i jednostajna zabijała w nim do reszty młodzieńczą żywość, a była warunkiem bytu, pierwszą jego potrzebą; stryj zresztą, który go mógł wyręczyć, nie chciał tego czynić umyślnie, aby Julian sam sobie w życiu późniejszym wystarczyć potrafił.

Młody Karliński, choć miał liczne w swojej sferze znajomości, nie miał przyjaciół; pierwszy raz może od opuszczenia uniwersytetu, duszę swą mógł otworzyć Aleksemu, i ku niemu uczuł się tak pociągniętym, że trzeciego czy czwartego dnia, spojrzawszy na Żerby, z daleka widne na horyzoncie, zapragnął pojechać do towarzysza... Zrazu jak stał, rzucił się jechać, rozkazawszy zaprzęgać, ale przypomniał sobie, że Aleksey miał matkę, że ubodzy są drażliwi, wystroił się we frak, wyperfumował, wziął kapelusz i rękawiczki, i sam z siebie się uśmiechając, przygotował do wyjazdu.

Tak go zastała Anna, chcąc się dowiedzieć dokąd odjeżdża, i zdumiała się widząc ten frak i strój, tak rzadko na wsi potrzebny.

— Ależ dokąd? spytała.

Juljan się uśmiechnął.

— Nie zgadniesz, rzekł, wolę ci od razu odkryć tajemnicę; jadę do Żerbów do Aleksego, do tego, który to nie miał ci się szczęścia podobać... a że ma matkę, ja zaś jestem z pierwszą wizytą, inaczej niepodobna mi było się wybrać.

— Doprawdy, zaciekawiasz mnie tym swoim przyjacielem... — rzekła Anna — jużes zateśknił do niego?

— Ale moja Anulcńko kochana, rzekł Julian, ty bo nie znasz tego człowieka; ty nie wiesz, jakie to serce

bije pod tą prostą suknią. jaka myśl niepozorna te koronuje głowę!... A! trzeba dla mojego usprawiedliwienia, żebyś go poznała. Nie zdarzyło ci się nigdy może jeszcze w niepozornej skórnicy człowieka bez formy naszej, bez naszych prawidłowych grzeczności i dziecięcych konwenansów, znaleźć niespodzianie czystej wody djament; razić cię będzie w początku ten energiczny syn wsi. ale niepodobna, byś go nie oceniła!

— To pewna, odpowiedziała Anna uśmiechając się, żebyś go była wzięła za ekonoma lub prowentowego pisarza, gdybym go nie znalazła na fotelu w twoim pokoju.

— Mój aniołku, rzekł brat uśmiechając się — ty mi często mówisz morały: czy darujesz mi, gdy ja ci coś w tym rodzaju powiem? My panowie, przebaczyć wyrażenie, wy kobiety salonów, zbyt często przywiązujecie wagę do formy i powierzchowności; dla nas często nieumiejętność języka, nieznajomość tych śmiesznych drobnostek, które nas obchodzą, mody, nowości, polityki, szorstkość wreszcie obejścia, niezwykłość wyrażań, czynią człowieka niegodnym naszego towarzystwa, odpychamy go, nie zajmując się nawet co się w nim kryje. Tymczasem wszystko to maleństwa, dodatki, powierzchowne stroiki, które częściej kryją nicość niż wyższość objawiają; są to własności ogólne wszystkich niemal, o których nabycie bardzo łatwo: trochę obznajomienia się ze światem, z książkami, a przyswoić je sobie można prędko; gdy tymczasem darów Bożych, jakie często pod niepozorną powierzchownością są skryte... nie kosztujemy dla przesady...

Anna słuchała z ciekawością i pokorą.

— Mój Julku, rzekła po chwili, masz słuszość, ale dlaczegoż nie pomyślisz, że jak nam z nimi, z tym lu-

dem szorstkim, tak jemu z nami polerowanymi równie być musi nie lekko, nie dobrze... Każdy najlepiej swoich rozumie... nie miej mi za złe mojej słabostki kobiecej; przywieź tu Aleksego, to go poznam lepiej i pokocham, byleby mi ciebie zabawił, rozerwał i ożywił!

Juljan uściśnął ją czule i na oznajmienie o koniach, zbiegł ze wschodów, spiesząc do Żerbów.

Aleksy wcale się tych odwiedzin nie spodziewał, przynajmniej nie tak prędko; ale matka jego była ich pewną, zebrała się nawet była zimno przyjąć panicza, bo nie życzyła sobie zbyt ścisłych między Karlinem a Żerbami stosunków.

— Niech tylko przyjedzie, mówiła sobie w duchu, wcale z nim ceremonji robić sobie nie będę; jużciż gość jak gość, trzeba go ludzko przyjąć, ale sobie głowy nie zakłopoce że to paniątko, i występu nie będzie.

Aleksy przypadkowo był w domu, gdy koczyk Juliana zawróciwszy się w bramę, wjechał w podwórko i z końmi przełękniętymi, bo je koryto u studni przepłoszyło, zatoczył się przed ganek... Pani Drabicka nie domyśliła się z razu, ktoby to był taki: posadziła tylko przybysza, że być musiał urzędnikiem, bo nikt u nas paradniej nie jeździ nad tych panów, ale porwanie się żywe Aleksego nanczyło ją zaraz, kogo miała przyjmować.

— Matniui, mój przyjaciel Karliński, na Boga, przyjmie go całem sercem! — zawołał wybiegając Aleksy.

— Całem sercem, ale bez występu! bez występu! mruknęła matka, pociągając na sobie nieco płóciennego szlafrocza i otulając się chustką — chce panicz żyć ze szlachtą, niechże się do niej stosuje...

Na te słowa wszedł Juljan, zbliżył się grzecznie do matki przyjaciela, skłonił się jej z prawdziwem uszanno-

waniem, bo cnotę i w niepozornym stroju i z czarnemi rękoma i z prostą mową oceniał — powitał ją kilka wyrazami bez wynusu i miłym ujmującym uśmiechem.

Pani Drabicka, nie wiem co to się stało, spojrzawszy na ładnego chłopaka tak pieszczonego, delikatnego, słabego, a tak wdzięcznego oblicza, uczuła się rozbrojoną cudownie... Wielką ma siłę twarz ludzka, kiedy z niej nie udana, ale szczerą i serdeczną mówi dobroć — zwycięża ona najtwardszą oziębłość, zawzięte wstręty i niechęci, bo człowiek musi za miłość i współczucie oddawać współczuciem i miłością. Jakkolwiek mocne miała postanowienie pani Drabicka co najzimniej i najobojętniej przyjąć pana Juljana, nawet go trochę zrazić i wcale mu się nie przypodobywać, wszystkie te piękne projekta spełzły w mgnieniu oka, a uśmiech rozkwitający na ustach poczciwej kobiety najmocniej uradował Aleksego, który już był zupełnie spokojny, ujrawszy go na twarzy matki.

Rozmowę bardziej jeszcze ująć ją Juljan potrafił, a tak był od razu poufały, tak łatwy, tak się niczemu nie dziwił i wszystko rozumiał, że pani Drabicka za chwilę zapomniiała o pańskim jego pochodzeniu. Jednakże nie mogła się przemódz, by nie wypowiedzieć się przed nim z kilku rzeczy zawczasu obmyślanych, i po kilkakroć wtrąciła w rozmowę o ubóstwie, o potrzebie pracy i różnicy ich życia od tego jakie tam mógł Juljan prowadzić — stosując to zarówno do gościa i do Aleksego... I tu Karliński znalazł się niezmiernie zręcznie, potakując wdowie a zarazem podnosząc wartość życia pracy, zniżając się i malując ciężkie brzemie na pozór świętego przeznaczenia swego.

Matka słuchała, z niedowiarstwem patrzała mu w



oczy i dziwiła się temu panu, który tak nie a nie panem nie był. Po chwili Aleksey i Juljan wyszli do izdebki gospodarza na cygaro, a pani Drabicka została sama i mocno zamyślona w gościnnym pokoju.

Mieszkanie Aleksego po apartamencie Juljana było dziwnie ubogie i niepozorne, ale Karliński znalazł je milem i wygodnem.

Wieleż to razy człowiek co czuje potrzebę piękna i pragnąłby się niem otoczyć, walczyć musi z niedostatkiem, który go zmusza żyć wśród Hiobowego śmieciska, w barłogach odrażających? Walczy, cierpi i w ostatku powie sobie, że krótkie życie nasze i tak przejść może, a zabawa oczów, rozkosz duszna nie warte są zachodu, i zakopie się rdzawiejąc uczuciem. W wielu z tych ludzi co z młodu czuli piękno i rzucali się ku niemu, rozpaczając później na widok pałaców i wytworności pańskiej—zwichnionem jest prawdziwe uczucie i smak piękności. Szukają jej tylko w tem co uznano za piękne, co często niem nie jest, i bogate, zbyt kowno, wytworne biorą za jedno z pięknością.

Tymczasem Bóg, który nikogo ukrzywdzić nie chciał i dla każdego dał taką cząstkę dobra, jaką pojąć i użyć potrafi na ziemi, prawdziwe piękno uczynił dostępnem każdemu. Często wewnątrz chatki ubogiej daleko jest artystycznie piękniejszem od bogatych komnat, których urządzeniu próżność bez smaku przewodniczyła. Ubodzy nie mają kosztownych dzieł sztuki, ale pierwowzór jej, arcydzieło Boże, dla wszystkich zarówno otwarte, nieustannie przed ich oczyma. Zresztą, sztuka jest li w materjałach, z których buduje? w kruszcu, który roztopia, w marmurze, który dłutuje, w barwach, którymi się stroi? Nie... ona jest w duchu, który z najlichszego



przedmiotu wyprowadzić może ideę piękną. Ubodzy mogą nie mieć i nie zazdrościć kosztownych fraszek bogatym, bo droższe nad wszystkie piękności ścielą się ręką Bożą rozesłane pod ich stopami. W tem co otacza człowieka, dusza tęskniąca do rajy piękności zawsze objaw jej znaleźć potrafi: zestawí, ułoży, umai, ozdobi i kawał drzewa myślą swą podniesie do życia. Bogaci zostać mogą przy swoim ideale, który dla nich ręka płatnego artysty i rzemieślnika często o głodzie wykształca; ubodzy sami sobie stworzyć mogą piękno własne z darów Bożych, stojących dla nich otworem. Trochę zieleni i kwiatów, trochę nieba, trochę słońca, a w koło pierwsze żywioły piękności, czystość i porządek, czyż nie dosyć duszy człowieka?

Tak sądził Aleksy, i mieszkanie jego mimo swej prostoty, mimo ubóstwa, ładnem się mogło wydać nawet w zepsutych oczach Juljana. Był to pokój dosyć obszerny, od ogrodu położony, biały i czystutki jak gdyby w nim młodziuchne dziewczę mieszkało. Jedno główne okno jego obrócone było ku drzewom, a Aleksy, który lubił czasem zadumać się poglądając w głębie sine oddalenia, nie mało miał z matką trudności, póki mu pozwoliła przeciąć w sadzie widok na staw błyszczący i dalekie ciemne lasy... Tędy tęskny pracownik nieraz okiem uciekał w przestwory nadziei i marzenia... Z obu stron okienka wysmukłe malwy, całe w kwiatach, zaglądały do izdebki ciekawe pochylając główki. Zresztą mieszkanie było skromne i zgodne ze stanem człowieka; w kącie łóżeczko porządnie usłane kilimkami domowej roboty, w smaku przypominającym, żeśmy wschodnie wyroby naśladowali; w głowach, na owalnej blasze srebrnej stary obrazek N. Panny i S. Antoniego, obok strzelba

i pałasz ojcowski. Na stole papiery gospodarskie, rejestra, rachunki, a wśród nich Goethe rozłożony na drugiej części Fausta... W kąciку na półce pozostałe z uniwersytetu książki, których liczba niewielka obejść się jednak bez nowości dozwalała. Dobór tych ksiąg był surowy i staranny: Biblja, Homer, Plutarch, Tacyt i Liwiusz, Herodot, Shakespeare, Goethe, Schillor, Kochanowski i Krasicki, Montaigne i Rej, Naśladowanie Chrystusa, Spowiedź S. Augustyna... otoż i wszystko, ale w tym szczupłym zbiorku jak wiele!... Aleksy czytał z upodobaniem pisarzy starożytnych i księgi pobożne, znajdując je krzepiacemi i dodającemi siły; nowa literatura, nawet Schiller, którego kochał, osłabiała go i niepokój rzucała mu w duszę. — Dlatego w chrześcijaństwie i piśmie, które być powinno jego wyrazem, nie wyjmując nawet pisarzy duchownych, wszędzie raczej niepewność, walka, smutek, rozpacz nawet się objawia, niżeli spokój, pogoda i wesele tych, którym krew Chrystusowa bramy nieba otwarła? Nie pojmował tego Aleksy, ale czuł, że gdy mu potrzeba było zaczerpnąć siły, uciekać się musiał do starożytnych, do pogan, lub do ksiąg świętych i Ojców Kościoła, gdy reszta namiętnością lub mętami po niej pozostałemu zarażona, zamiast umacniać i uspokajać, jad i zakis wlewała w duszę. Na każdej karcie, począwszy od nowej ery, ludzie zapisali tylko dowody malej i niepełnej wiary swojej, swej walki z prawdą, swego żalu po wyrzeczeniu się ciała; wszędzie leżały obrazy niepokojącego stanu duszy, wyznania słabości — nigdzie na nich lekarstwa. W literaturze starożytnej jest w istocie jakaś powaga i pogoda, której dziwnym się u ludzi bez przyszłości, boz niebios, bez związku z duchami tych co ich poprzedzili; widać w niej stoicyzm

szlachetny, męstwo i spokojny pogląd za grób i skon... w literaturze nowszej, nawet obok głosów wiary i religijnego natchnienia, wrywa się tęskna wątpliwość, kryjąca się na dnie serca. Ażeby jej wpływu uniknąć, potrzeba jak Aleksy otworzyć Pismo święte, Ojców i pisarzy, co szaty i zaprzątnięcia ziemskie zrzucili z siebie, odziewając się białą suknią wybranych bożych.

Nie sami niedowiarkowie i tak zwani nieprzyjaciele wiary szczepią w sercach niepokój i wątpliwość; są i księgi na pozór pobożne, przez których słowa przebija się myśl skrepowana względami i zaprzątnięciami ziemskimi; te więcej może szkodzą, niż otwarte napaści, które odeprzeć jest łatwo.

Ale powróćmy do pokoju Aleksego... Julian oglądał go z zajęciem, chodził od pułki do stolika, przypatrywał się widokowi z okienka, a choć oprócz opisanych sprzętów mało co było więcej, jedna sofa, krzesel trochę, kilka sztychów na ścianach i parę wazonów... całość podobala mu się swoją prostotą i szczerością. Szczerością powiadam, bo są mieszkania nieszczere, kłamiące dostatek, udające wytworność, chwalone się fraszkami, jak gdyby kiedykolwiek usty czy uczynkiem oszukać można oczy ludzi! Aleśmy słabi, aleśmy próżni, ale się nam chce zawsze więcej niż jest pokazać i dać się domyślać.

Aleksy wcale nie miał tego pragnienia śmiesznego, i nie u niego nie stało dla zwabienia oczu... kilka drobnych pamiątek z czasów dostatku, po dziadzie, po ojcu i babce, chowały się skryte jak świętości...

— A! jakże tu miło i ładnie, zawołał Julian wchodząc na próg i serdecznie witając przyjaciela.

— Nie tak przecie jak u ciebie; bardzo skromnie i ubogo...

— Ale nie wiem dlaczego czuć że tu mieszka spokój i szczęście, gdy u mnie bogato a smutno... Tu by się śpiewać chciało, u mnie zadumać.

— Dziękuję ci, ale się nie sil na pochwały, pocziwy towarzyszu... uśmiechając się odpowiedział Aleksy — bądź ze mną szczery, mów co myślisz, nie sądź mnie drażliwym, bo nim nie jestem... Siadaj... a naprzód, patrz! co za upokorzenie dla mnie! mojego tytoniu zapalić nie możesz, zakaszałbyś się śmiertelnie... muszę ci dać pozwolenie wypalenia własnego cygara...

— A ty ze mną? spytał, dobywając cygarniczkę Julian.

— Nie! dziękuję... boję się do lepszych rzeczy, których używać nie mogę, nazwyczać... Na co sobie robić nałóg i przykrość! Ja zapalę moją fajkę...

— Jak chcesz!! podając mu rękę zawołał Julian... jak chcesz, bylebyś mnie ztąd nie wypędzał, Aleksy... może ci przeszkadzam, czas kradnę, daruj, ale to do prawdy dobry uczynek, że mnie nie odpychasz... jest to rodzaj jałmużny, ja tak potrzebuję przyjaźni, powiernika i pociechy!

— Ja już obyłem się, odparł Aleksy, z osamotnieniem mojem i nawykłem sam sobie wystarczać... W pierwszych chwilach, po gwarze miasta i z uścisków rówieśników naszych, ciężko i tęskno mi tu było jak w grobie; dziś pozbyłem się potrzeby wywnętrzania, nauczyłem radzić sam sobie, sam swoje opatrywać rany, i —

— I może ci to się śmiesznem wydaje, że ja tak jeszcze słabe i młode dziecię? zapytał Julian.

— Nie... naprzód nie wszyscyśmy jednakowo stworzeni; powtóre potrzeba człowieka jest w nas natury koniecznością, obchodzenie się bez niego anomalją... tylko

święci i męczennicy mogli być sami, bo żyli w Bogu i z Bogiem... ułomny człowiek musi potrzebować ludzi.

— Czem-że ty jesteś, kochany Aleksy, świętym czy męczennikiem? zapytał wesoło Julek.

— Schwytałeś mnie za słowo... niestety! ani jednym ani drugim się nie sędzę; przywykłem do samotności, bo inaczej być nie mogło, lecz jak w pustyni potwory, tak w osamotnieniu mojem legną się dzikie widziadła... Muszę nieraz w zapasy chodzić z niemi... ale na to lekarstwem praca...

— Wielkie wyrzekłeś słowo... gdybyż praca, do której czujemy popęd, ale nieżnośne, mechaniczne, głupie zajęcie...

— Zrozumiejmy się Julianie; taka praca pociągająca, właściwa, miła nam, nie może się uazwać pracą, to zabawa, zajęcie, to jakaś funkcja, którą spełniamy z rozkoszą... a ta nienawistna właśnie, to piętno doli człowieka... to gorzkie owe lekarstwo. Tysiące ludzi słyszemy uskarżających się na rodzaj pracy, jakiego po nich wymagają okoliczności. Sybaryci! chcieliby pracy bez poświęcenia, chcieliby zabawki, którąby ochrzcić mogli nazwiskiem trudu... są to próżniacy.

— To całe nowa teoria! Ale rejestra! ale twoje gospodarstwo... to nieżnośne!

— Nie powiem, żeby miłe być miało, ale coś z tem zrobić? nie mam sobie przez dziadów zostawionych środków próżnowania i pracować muszę, dlatego, żeby braciom może oszczędzić potu i mozołów w przyszłości...

— Myślisz więc, że ja, co ci się tak swobodnym wydaje, jestem nim w istocie? Tu znowu tyś popełnił omyłkę... każdy z nas dźwiga jakieś brzemię; mnie interesa i obowiązki światowe tyle męczą co ciebie go-

spodarstwo; wolałbym czytać, podróżować, marzyć, kochać i dumać w krześle szerokiem...

Rozśmiali się oba spoglądając sobie w oczy.

— Ale, dodał Juljan żywo, nie wyłamując się z pod powszechnego, jak widzę, prawa, mogę przynajmniej wymagać od losu, żeby mi tyle dał co starzy dramatycy swoim kochankom... jednego choćby powiernika i przyjaciela... Ulitował się nademną los, żeśmy się spotkali... musisz bywać w Karlinie, myśmy tak sami! musisz mi pozwolić zajrzeć do twego cichego pokoiku!

Aleksy oczy spuścił, podając dłoń przyjacielowi.

— Porozumiejmy się, rzekł poważnie; nie sądź, że bym ja mało ciebie i twą przyjaźń cenił; nie myśl, żeby mnie jakaś śmieszna duma szlachecka odpychała od ciebie, dla tego żeś ty panem a ja ubogim o kilku chłopkach rolnikiem; są ważniejsze powody, dla których nie spieszyłem do ciebie, nieraz o tobie myśląc. Musiałem wprzód obywać się ze stanem moim i wrosnąć w ten zagon, który uprawiać przeznaczeniem mojem; obawiałem się być wciągnięty w sferę niewłaściwą. Chcę mojej pracy być winien przyszłości, a nie plecom, stosunkom, łasce losu i ludzi; do celu idę wprost jak strzełił, bez żadnych szachrajstw i wykrętów.

— Zdaje mi się, że ja ci w tem nie przeszkodzę, mój Aleksy, odezwał się Juljan; będę umiał szanować twoją pracę, ubóstwo, twój czas i niezawistość... ale nie sądź, żeby jakaś chorobliwa czułość i potrzeba skarżenia się pędziła mnie ku tobie. Zdaleka patrząc na Karlin, na to stare zameczysko, na mury jego, słuchając o nas od ludzi, nie domyślasz się, ile rzetelnego cierpienia, ile bóleści Bóg zesłał na tych wybranych i swobodnych ludzi... O! biedni i my jesteśmy! a powiem ci szczerze,

w naszym kółku przed nikim ust otworzyć nie mogę i serca obnażyć... przywykliśmy, my panowie, jak wy nas nazywacie, powierzchownie brać wszystko i sądzić z pozoru; mamy współczucie dla wszystkich, ale dla nikogo rady; odpychamy co tylko trąci obowiązkiem, co potrzebuje surowszego zastanowienia, czego w żart obrócić nie można... Dlatego gdy który z nas zachoruje, musi lekarza szukać nie pomiędzy swymi — ale w ludziach co równo cierpiąc, innem okiem patrzą na boleść, których usta nie zmazały się szyderstwem i nie nałożyły do żartu z całego świata...

— Prócz siostry, której nie ze wszystkiego zwierzyć się mogę, nie mam przyjaciela! dokończył Julian... a cierpię często nad siły, gdy jedno może słowo uleczyłoby mogło tę chorobę duszy.

— To jedno słowo też tylko zawszebym ci powtarzał, odezwał się Aleksy — tem słowem jest wiara, przekonanie, że nie mamy tu ani czasu, ani prawa do szczęścia, ale plac próby i godzinę pracy... Nie padajmy na ducha, a czy mniej czy więcej przebolim! wartoż tak bardzo stękać?

Rozmowa byłaby się dłużej zapewne pociągnęła między przyjaciółmi, gdyby jej wcale niespodziewane wejście nowego gościa nie przerwało; Aleksy spojrział na drzwi i zobaczwszy go, zmieszał się na chwilę; ale krótko trwało to wrażenie, pospieszył i rękę mu podał z uszanowaniem i życzliwością... Julian choć tego nie zrozumiał, bo strój przybyłego nie tłumaczył mu wcale przyjęcia tak poufałego, wstał i ukłonił go powitał.

Była to postać tak osobliwa i dziwna, jakiej nie łatwo napotkać; wpatrzywszy się w nią, odgadłeś zaraz, że dziwny zbieg okoliczności pchnął tego człowieka za



zwykle drogi żywota i postawił go całkiem osobno, nie dając już podciągnąć pod żadną klasyfikację towarzyską. Strojem był to wieśniak prawie, twarzą pan jeszcze, obejściem i mową czemś pośredniem; stanu jego niepodobna się było domyśleć.

Starzec to był siwy, ogromnego wzrostu, silnie zbudowany, krzepki, z ręką żyłastą ale piękną, postawy poważnej, niemal dumnej; długa broda biała spadała mu na piersi, głowę całkiem prawie miał obnażoną, brwi nadzwyczaj obfite i nastrzępione dziwacznie. Rysy jego szlachetne, niepospolitym odznaczały się wyrazem spokoju i jakiejś wyższości, jak gdyby zerwawszy ze światem, ani się go już lękał, ani pragnął, ani dbał o niego; wyraz taki nadaje czasem upojenie tylko i starzec też był jakby pijany swoją przeszłością. Marszczki grube na czole, spalone od słońca policzki, skóra stwardniała od powietrza, wiatru i słoty, nie dozwoliły jednak temu obliczu, któreby za wzór apostoła lub męczennika przystało, stać się pospolitym i powszednim; w pośród stu innych zwracało ono oczy i uderzało pięknnością swoją. Ubiór starca niczem go nie różnił od prostego wieśniaka lub zagrodowego budnika: na nogach miał łapcie lipowe, na barkach czystą sukmanę siwą, pas czerwony, a żyłasta szyja opasana była rąbkiem zgrzebnej czarnej koszuli. U pasa w kaletce brzęczał nóż, krzesiwo, przetyczka, a tuż tkwiła krótka fajeczka gliniana, z maleńkim drewnianym cybuszkiem. Wszedłszy stary, zmierzył okiem obu, zdawał się sobie coś przypominać spojrzawszy na Juliana, i wstrząśszy rękę Aleksego obejrzał się szukając krzesła. Gospodarz podał mu je uprzejmie, gość usiadł, i nic nie mówiąc, jął się swej fajki, którą powoli nakładać zaczął, pogladając po pokoju.

W ruchach jego najmniejszej nie znać było niezgrabności, w twarzy najmniejszego zakłopotania; z dziwną obojętnością zaledwie przywitawszy się i zabrawszy miejsce, nałożył i zapalił fajkę, i siadłszy wygodnie, począł pnszczać kłęby sinego dymu, którego zdawał się być spragniony.

Juljan nie spuszczał go z oka, sechł z ciekawości, co to za postać była, bo z pod sukmany przeglądał człowiek dobrego wychowania — ale spytać Aleksego nie śmiał.

Drabicki jakby się tego domyślił, rozpoczął rozmowę obracając się do starca.

— A co? hrabio Marcinie, skwarno dziś? skwarno?

— Djable pali, odparł stary... zmachałem się potężnie nim do Żerbow doszedłem, ale mi z tem zdrowo...

— Piechoto?

— Piechoto! wiesz przecie, że koni nie mam, a przysiąść się na cudzym wózku nie lubię.

Karliński słuchał, uderzył go tytuł hrabiowski, łamał sobie głowę, ktoby to mógł być taki i nie nie przypominał, do czego by się ta postać zastosować dała... Nie mogąc wytrzymać, Juljan szepnął wreszcie gospodarzowi:

— Zaprezentuj mnie.

— Sąsiad mój i towarzysz uniwersytecki Juljan Karliński... odezwał się Aleksey podchodząc z nim do staro; ten wstał trochę, szeroką dłoń wyciągnął i skroń powołał nchylił.

— Hrabia Marcin Junosza... odezwał się Aleksey.

Juljan nie wiele się z tego nauczył...

— Lubię młodzież, miło mi poznać pana, odezwał się hrabia... ha? nie słyszałeś może o mnie? Ojca twojego znałem dobrze... chorażyca? nieprawdaż... Żonaty był z

Teklą Helmińską... Ha! ha! stare dzieje! razem byliśmy w Paryżu, we Florencji, na brzegach Renn...

Juljan wpatrywał się z coraz bardziej uateżoną ciekawością w tego siermięgowego starca, prawiącego mu o Paryżu i Florencji; nie uszło to jego oka.

— Nie musiałeś chyba nic słyszeć o starym Junoszy, że się tak wpatrujesz we mnie?

— Przyznam się hrabiemu, że w istocie nazwisko to pierwszy raz spotykałam...

— A! to ci się musi bardzo wydawać dziwacznie! Ale ba! pożywszy, zobaczysz nie jedno dziwowisko podobne: pana w siermiędze i chłopą w aksamitach! *Ludit in orbe Deus...* Żyło się, żyło, kopę lat przerzuciło za siebie i doszło do chłopskiej świty... nie z potrzeby, bo bym może mógł jeszcze stroić się jak drudzy i okpiwać państwem, ale z dobrej woli...

Starzec pusił kłab dymu, pochylił głowę i westchnął.

— Jużci żem winieu, panie Karliński, tłumaczenie z mojej świty i łapciów? Muszę ci więc cokolwiek o sobie powiedzieć, żebyś tak bardzo wielkich na mnie oczu nie robił. Znasz Perewerty? Jest to klucz, tysiąc dusz, o dziesięć mil ztąd; dałem go córce mojej w posagu!

— Pani Izydorowej? zawołał Karliński.

— Mojej Marysi... uśmiechając się rzekł stary, i Marysia w koronkach i brylantach, a Junosza w siermiędze... poczeiwe dziecko! chodźci by mi tak nie dało, gdyby nie moja wola i własna ochota... bo mi tak mospanie lepiej. Dużo się dużo przeżyło i przyszło do przekonania, że najlepsze życie jest życie najprostsze, najmniej potrzeb, najwięcej swobody, ludzi niewielu, nałogów żadnych o ile możliwości... Za młodu kręciła mi się głowa jak innym, wziąłem po rodzicach kilka miljonów, imię

piękne, a temperament szalony; jak w wodę rzuciłem się w świat... było mnie pełno wszędzie, za granicą, w domu, przy wszystkich pięknych paniach naszych czasów, które dziś są zgrzybiałymi babami, przy stolikach gry, po najlepszych towarzystwach, gdzie tylko życia z nowej beczki skosztować było można. Znudzony jednym napojem, składałem nie na siebie, ale na to czem gasiłem pragnienie, szedłem w drugą stronę, błodziłem, biłem się, męczyłem szalejąc i siwiejąc, aż przecie opamiętałem. Doświadczenie mnie nauczyło, żeśmy wszyscy postrzeleni; zdaje się nam, że gdzieś może być lepiej, inaczej, że kolor sukni lub smak potrawy stanowi szczęście i spokój, a wszystko to fałsz wierutny... Ludzie, Boże odpuść, co do nogi z jednej gliny ulepieni; życie wszędzie jednakowe, najbezpieczniej tam, gdzie potrzeb najmniej i najmniej groźny upadek... Dobrowolnie wystawiłem się na próbę jak najprostszego życia po najwykwintniejszym, i tak mi z tem dobrze, że innego znać nie chcę... Mieszkam w chacie, w lesie, który sobie ekscypowałem, prosta baba jeść mi warzy, poluję, fajkę palę, odwyłem od wszystkiego, bez czego człowiek się obejść może, nawet od salonu, w którym większe pół życia strawiłem i dalipan bardzo mi z tem dobrze...

Juljan słuchał trochę zdziwiony, trochę niedowierzający.

— I nic-że to hrabiego nie kosztowało, nagle tak życie odmienić?

— Jakto nie kosztowało? zawołał stary — ale od czegoż rozum? W pałacu byłbym się w śmierć zanudził; siły mnie opuszczały, głupie myśli zaczęły się snuć po głowie, o włos żem się drugi raz nie ożenił... chorowałem, starzałem; a więc precz z szlafrokiem i pu-

chem! do pracy! do niewygód! do znoju! Odżyłem. i nie mi życie nie cięży. Z początku... ciężko było: ciałko wydelikaczone prosilo się do poduszek, zachciewało mi się to tego to owego, to włoskiej czekolady, to angielskich sojów, to musztardy francuzkiej; wziąłem się na chleb i na wodę, na mleko i kluski; chwile trwała przemiana natury, alem ją przerobił i kontent jestem bardzo.

— To nie, a za towarzystwem—hrabia nie tęsknisz?

— Długo by o tem gadać, ale wreszcie czemu nie mówić! Książek sie nie wyrzekłem, córkę co dzień widuję, nie zaparłem się tego com umiał i do czegoś doszedł zbierając po świecie, jak to my wszyscy, wiadomości, prawdeczki i fałsze... ale wierzaj mi, w zetknięciu z ludem jak w zbliżeniu do natury, zyskałem wiele, to mnie odświeżyło... Wiele więcej zapewne wiemy, rozumiemy, domyślamy się od ludu, przez to samo, że u nas myśl panuje więcej, w jednym kierunku duchowniejszym, ale... ogromne ale!... zerwaliśmy z naturą i społecznością żywą i zamknęliśmy się w szrankach ciasnych, w których z kilkunastu tysięcy ludzi układa coraz odmienne kastety... nie spoglądamy w wielką księgę świata, w żywą społeczność, w dzieła boże, nie czerpiemy z tradycji; wszystkiego uczymy się z książek, książki z książek piszemy, z nich jesteśmy rozumni, z nich poczeiwi, i z nich koniec końcem wysławszycie było, pijemy dziesiątą wodę po kisielu. Chrystus Pan i apostołowie nie byli to ludzie książkowi, a przecież świat odrodzili, i bądźcie pewni, że gdy nowa przyjdzie era, nie z bałamutnej biblij Mormonów, nie z drukowanych teorii, nie z traktatów filozoficznych, ale z żywego odrodzimy się słowa. Lud nie ma nauki, ale

patrzy, czuje, doświadcza i szczerze się, spowiada z prawdziwego człowieczeństwa swego, gdy my po większej części jesteśmy fałszywi papierowi ludzie. Dla nas cywilizowanych, często szorstkość obyczajów ludowych, naiwność języka, prostota myśli zdaje się pogardy godną, ale w tem wszystkiem więcej przecież żywota i prawdy niż u nas... Przyjdzie czas, że dziewięćdziesiąt dziewiątą część ksiąg spalić będzie potrzeba, a tem co się zostanie, obchodzić...

Stary zamilkł.

— Musiałeś mnie, panie hrabio, osądzić za wielkiego zwolennika życia, którego noszę suknię na sobie i pietno na czole, rzekł Julian... ale omyliłeś się... nie mam siły być czem innem, ale widzę dobrze i jasno położenie moje...

— No! to przyjdiesz jak ja do siermięgi! rzekł hrabia śmiejąc się... Wiercie mi, wiercie mi, nie wam nie dodają fraszki, w które się bawicie; każda z nich owszem bierze z was częśćkę życia... i swobody...

Juljan słuchał starca z takim zajęciem, że nie powrócił do swego miejsca i stał przy nim zdumiony, chwytając wyrazy, które wychodziły z ust jego.

Junosza też rozgadywał się coraz z większym zapałem i ochotą.

— No! ale powiedzże no mi, odezwał się po chwili, więc mieszkacie w Karlinie? Ojciec umarł? a matka?

— Matka nasza, poszła... poszła za męża...

— Za kogo?

— Za pułkownika Delrio...

Stary się namarszczył.

— A prezes?

— Prezes żyje i zdrów...

— A stary ten dziwak Atanazy, którego kocham... chciałem go lat kilkanaście nie widział?

— Zawsze w swej Szurze z której nie wyjeżdża...

— Pójdę kiedyś piechotą do niego... Nie zniemil się?

— Nie a nie, jak go znamy... Ale jakże się stało, panie hrabio, że ja, którego pan znasz tak dobrze całą familję, nigdy nawet nazwiska jego nie słyszał?

Stary się rozśmiał łucznie...

— Zerwałem z waszym światem, odparł, a u was, moje dziecko, co z wozu padło i to przepadło... dziś przyjaciele serdeczni, jutro nieznajomi... Znać się i kochać tylko ze swymi... odsunąłem się i zostałem zapomniany... na cóżbym się wam przydał? Pokazać się w salonie nie mogę, bo roli lwa grać nie chcę; mało kto mnie zrozumie zresztą, a nabijać się nikomu nie myślę. Są już może dawni mi znajomi co mnie i za umarłego mają i wieczne odpocznienie zamówili za mnie! Krótka i słaba pamięć ludzka! a wieleż to ja sam zapomniałem!!

Dano znać do herbaty; bosa dziewczynka wbiegła zarumieniona do pokoju i uciekla co najprędzej wymówiwszy coś niezrozumiałego; nim się zebrali wyjść goście, sama pani Drabicka pokazała się w progu.

— Jak się mamunia miewa! odezwał się hrabia...

— A i hrabia tu?

— Cóż to wasani dobrodziejka myślałaś że moja sierniega progę przestąpić nie warta, czy co? albo że już taki stary, że mi się koło młodych ogrzewać nie godzi... Przecież i w Godzinkach jest Abizail starego Dawida grzejaca!

— Stary grzyb a jeszcze lichy wie co papie! odezwała się ruszając ramionami pani Drabicka...



Stary poszedł przodem za gospodynią, nie zważając na jej ofukiwania i prześladowając ją to tem to owem.

— Wiesz mamuniu, rzekł, że gdybyśmy się pobrali...

— My z sobą?? a toż co!

— Nie łatwoby nas kto oboje przegadał... skoro się zejdziemy musimy się kłócić...

— A jakże nie mamy się kłócić, ofuknęła się znowu pani Drabicka, kiedy pan mi syna bałamucisz...

— Ja? chyba go nawracam!

— Ślicznie! Ledwie się zejdziecie, jak zaczniecie filozofować... licho wie o czem... jego trzeba do hreczki namawiać nie do tego co mu i tak świta... niepotrzebuje.

— Alboż to Aleksy jeszcze zły gospodarz? zawołał stary... jeszcze to mamuni mało? chleb jest, nikomuście nie nie winni, a pocóż go zamecząć? Chłopcy dorosną, będą sobie pracować, a dziś choćbyście jakie tysiąc więcej mieli w skrzyni, co wam z tego przyjdzie?

— Otóż patrz pan czy nie bałamuci? zakrzyknęła stara... biorę pana za świadka, rzekła odwracając się do Karlińskiego, namawia go do próżnowania.

— Nie do próżnowania, jejnościinnin, nie, ale jak go zarznieś tą pracą, co ci z tego przyjdzie? daj mu się i nagadać, i zabawić, i poczytać...

— Toż całe nocy w książkach siedzi...

— Moja matuniu... przerwał Aleksy — o świcie jestem w polu...

— Gdyby nie ten stary bałamut, co na to łapcie włożył, żeby mu wolno było wszystko gadać co zechce, ja bym z Aleksego innego człowieka zrobiła...

— Niech sobie pani innego człowieka zrobi kiedy się jej podoba, zawołał hrabia, ale nie z Aleksego... już go dziś w kociółku przerabiać pokrajawszy zapóźno...

Sama stara w śmiech to jakoś obróciła... i tak rozmowa się przerywała; nalano herbatę, ale hrabia wyprosił sobie kwaśnego mleka i kieliszek starki, bo od herbaty był odwykły i wesoło wcale rozpoczął się podwieczorek.

## XV.

Wspomnieliśmy już że Żerby, oprócz tej części którą dziedziczyli Drabieccy, dzieliły się jeszcze na sześciu posiadaczy; było więc w nich sześć niestety! dworaków w niewielkiej od siebie odległości rozłożonych, drzwiami ku głównej obróconych drodze, których wejżenia nie uszło co tylko do starego dworu jechało, lub przechodziło a nawet leciało... Drabieccy żyli ze wszystkimi po sąsiedzku, a choć dzień nie upłynął żeby tam czegoś w szkodzie nie zajęto, żeby się nie przewinili ludzie, nie było jakiegoś kwasu i trudności z jednym z kolkatorów, Aleksy miał harmonję utrzymać, naprzód postępowaniem prawem i energicznem, potem łagodnością i wyrozumiałością w drobnostkach.

Do Żerbów, a zwłaszcza do starego dworu mało bardzo kto kiedy zawitał: Drabieccy gości nie zapraszali, krewnych prawie nie mieli w okolicy, stosunków nie szukali, żyli bardzo cicho; koczyk więc Karlińskiego, w biały dzień zmierzający do nich, wielkie zrobił na sąsiadach wrażenie.

P. Mamert Butkiewicz, najbogatszy właściciel w Żerbach, bo miał tu aż piętnastu chłopów, dom złotem pomalowany i sposobił się skupić całe Żerby, na co sknerząc zbierał kapitalik, dopiero mając się ożenić gdy o ostatnią schedę tranzakcję podpisze — stał właśnie

w oknie gdy kocyk przejeżdżał, otworzył oczy i usta, powiódl za nim wzrokiem, zażył tabaki i zawołał sam do siebie: — Dalibóg do Drabickich!

Pan Jozafat Butkiewicz rodzony brat jego, ale daleko odeń uboższy, żonaty z Pierzchowską, i obarczony dziesięciorgiem dzieci, o których nieustannie mówił niemal skarżąc się na to błogosławieństwo Boże — stał w bramie z fajką, widział powóz także, wyszedł aż na środek ulicy choć był w kamizelce, dopatrzył, że zajechano do starego dworu i pobiegł co tchu do żony.

— Jejmość, Anielciu, zawołał do bardzo otyłej niewiasty, która śpiwając usypiała dziecię na rękach... a taż to jak Boga kocham... do Drabickich ktoś koczem pojechał!

— Cicho! dziecko zasypia, a ten krzyczy!... no to co?

— Ale koczem...

— To któż taki?

— Czy samemu pójść czy się posłać dowiedzieć Iwanka, ale Iwanek do karczmy pójdzie, a ja tak dawno u Drabickich nie byłem.

Nie wiem już jak się skończyła rozmowa, bo pan Jozafat wyleciał z pokoju przepędzony przez żonę i zamysłony stanął w ganku... gdy przez płot tuż ujrzał szwagra swego, pana Pryscjana Prus-Pierzchowskiego, który wdrapawszy się na tyn z niego obserwował obroty owego kocyka...

— Kto to pojechał? zapytał pan Butkiewicz.

— Karliński młody...

— Do Drabickich?

— Do Drabickich...

— Cóż to ma znaczyć?

Pan Pryscjan nie raczył odpowiedzieć, z płotu ze-

skoczył i poszedł do swojego dworku, a pan Jozafat pozostał w głębokich rozmyślach. Splunął tylko spoglądając na szwagra i ruszył ramionami...

Obok mieszkający Teodor Prus-Pierzechowski, brat pani Butkiewiczowej drugi i rodzony Prysejana, był w stajni około koni, gdy mu się koczyk mignął, i nie powiem, żeby to zjawisko nie zrobiło na nim wrażenia.

— Po co do Drabickich? począł argumentować powoli — po co? nie wiem. Tak jest — nie wiem; ale to wiem że kiedy gość przyjeżdża rzadki, miły, dobywa się butelka z lochu, i wychyla się zdrowie jego... Gdybym zaszedł do Drabickich!... Ale by się ogolić potrzeba... Wieczór... na wsi, możeby uszło i nieogolonemu... a butelka będzie pewnie.

W tem nos w nos spotkali się z Prysejanem; — jakkolwiek rodzeni, nie a nie nie byli do siebie podobni. Teodor, szlachcic hreczkosiej, lubił buteleczkę i zbierał grosiwo. Prysejan stroił się, łożył na konie i bryeczki, częściej siedział w miasteczku niż na wsi pilnował gospodarstwa, śpiewał przy gitarze i udawał eleganta... palił nawet cygara. Prysejan był już wystrojony i kroczył ulicą jakby do starego dworu...

— A to dokąd? zapytał Teodor zatrzymując go.

— Na przechadzkę... obojętnie odparł Prysejan.

— Tere-fero! Kpij zdrów! Do Drabickich! Ktoś tam pojechał!

— Ale nie do Drabickich!

— Co ty mnie gadasz! pewnie ponczyk będzie...

— A tobie ponczyk w głowie! zaśmiał się młodszy.

— Przyznaj się...

— Mówię ci że idę na przechadzkę...

— No, tu ruszaj z panem Bogiem...

Prysejan uszedłszy kroków kilka, niechcąc się wydać przed bratem, że idzie do starego dworu, udał się boczną ulicą, gdzie był dworek wdowy Butkiewiczowej i Jacka Ultajskiego, dwóch nam jeszcze nieznanym obywateli w Żerbach zamieszkałych. Wdówka po pannę Celestynię, bracie Jozafata, bezdzietna, niegdyś piękna wcale, ale niestety od lat dziesięciu podobno skończywszy trzydzieści, nie poległa na progu dojrzałości nadziei zamaż pójścia. Lat dwanaście napróżno starała się o męża, łapiąc z kolei sąsiadów i żadnego pochwycić nie mogąc; w ostatku szalenie, namiętnie, desperacko zakochała się w Prysejanie Pierzechowskim, który właśnie około jej dworku przechodził. Los chciał, że z wychowaną swą Madzią, mogącą mieć lat około dziewięciu, stała we wrotach, gdy się przy nich Prysejan pokazał, i zatrzymała go impetycznie.

— Proszę pana, proszę pana! na chwilkę! tylko się coś spytam...

— Co pani każe? rzekł grzecznie uchyłając czapki przechodzący...

— Widział pan?...

— Co?

— Koczyk, który do starego dworu pojechał!

— Nie, nie uważałem...

— Kto to może być?

— Nie wiem...

— Nie wstąpi pan do mnie.., wdzięcząc się spytała dojrzała wdówka...

Prysejan zawahał się, ale jakoś mu nie wypadało odmawiać; chciał brata zbić z tropu i zaszedł na chwilę do pani Celestynowej, którą uszczęśliwił przybyciem swoim tak, że o koczyku nawet zapomniała... Już mieli

z dziedzicznika wchodzić do dworku i wdowa poczyniała od westchnienia rozinową sentymentalną, gdy ogromne:

— Za pozwoleniem! ryknęło tubalnym głosem z za płotu. Był to głos pana Jacka Ultajskiego, sasiada paui Celestynowej, u którego, jakeśmy mówili, trzymał dzierżawę Aleksy. Pan Jacek dawniej bywał ekonomem i rządcą, na tych funkcjach dorobił się kapitaliku, za który kupił schedę w Żerbach, sam (na niej w początku gospodarzył z żoną, ale z chłopami swymi do ładu przyjść nie mógł, źle mu jakoś rodziło i dzierżawą ją wypuścił. Była to zamaszysta figura, z wielkimi wąsami, na codzień pokazująca się w kapocie, a w niedzielę w węgierce, zresztą, byleby go nie zaczepiano, niezły człowiek i mający pasję zapraszania do siebie i zawiązywania stosunków. Pani Celestynowa podniosła głowę przestraszona, żeby jej nie odebrano złapanego Prysejana, pan Pierzechowski trochę się zmieszał, pochwycony na gorącym uczynku grzechuostek dla niemłodej wdowy, oboje zatrzymali się.

— Państwo wiecie co się świeci? rzekł Ultajski.

— A co?

— Wszak ci to jacyś wielcy goście pojechali do starego dworu... Kocz, cztery konie...

— No to cóż, sąsiedzie, odparł Prysejan, niech zdrowi przyjmują.

— Nie pójdziemy zobaczyć kto to taki?

— Ja nie, rzekł Prysejan, niechając się przyznać do ciekawości.

— Ja mam trochę interesiku do mego posesora, to się może powłokę... odstępując od plotu, rzekł Ultajski — do widzenia!

I okiem szyderskiem zmierzyl eleganta, wolnym kro-

kiem postępującego ku dworowi pani Celestynowej.

— Patrzajcie! mruknął do siebie... złowila go! no no! tegom się nie spodziewał, baba starsza od mojej Bezdietna, ale różnie ludzie o wychowance jej gadają... nie wiadomo zkąd się to wzięło, cząstka licha! długów dosyć. Trzeba Pryscjana ostrzedz, mógłby sobie lepszą partję znaleźć...

Tak więc w całych Żerbach widok koczyka Karlińskiego zrobił niepospolitą sensację; nie uszedł on nieczylich oczu i wszyscy sposobili się pod różnemi pozorami zajrzeć do starego dworu, aby się osobiście przekonać kto był ten gość i po co przyjechał do Drabickich.

Aleksy, Julian i stary hrabia siedzieli niczego się niespodziewając przy herbacie, gdy w ganku Kurta stary poczał naszczekiwać. Pani Drabicka dobrze zuała głos jego, bo Kurta na każdego szczekał inaczej: na żydów napadał z ogromnym wrzaskiem, dziadów odpędzał ujadaniem zapalczywem, znajomszych zaś oznajmywał kilka, jakby z obowiązku tylko wyrwywającemi mu się wykrzyknikami. Nie ruszył się nawet z ganku, i parę razy odezawszy, ucichł; pani Drabicka wyjrzała oknem i poznała paua Mamerta Butkiewicza, który włożywszy na się starą kurtkę, zrobioną z granatowego fraka, kroczył wprost do dworu; zobaczył go także Aleksy i trzeba wyznać, że na ten raz nie bardzo był rad gościowi; ale cóż z nim miał począć?

Śmieszna postać pana Butkiewicza, w szaraczkowych hajdawerach, w spencerze granatowym, z laską sękatą w rękę, w ryżej peruczce na głowie, z twarzyczką pokrzywioną i małemi kołacemi oczkami, już się wsunęła do pokoju, z powagą i dumą witając gospodynię, lisiem wejrzeniem obejmując gości. Wszyscy się ruszyli witać,



stary tylko hrabia nie wstał od swojej misy słodkiego mleka. Julian musiał się od śmiechu wstrzymać, bo nie chciał nikogo obrazić, ale ta karykatura niesłychanie mu się wydała pocieszna; spojrzeli na siebie z Aleksym znacząco.

— Dużo masz takiego kalibru sąsiadów? zapytał Julian po cichu.

— Tylko sześciu, odpowiedział Aleksy... nie wątpię, że ci się wszyscy zaprezentują, twój koczyk ich tu sprowadzi, ciekawi są kto do nas mógł zajechać, bo u nas nikt zwykle nie bywa... zobaczysz...

— Sąsiedztwo nie ciekawe! rzekł sobie Julian w duchu... biedny Aleksy!

Tymczasem pan Butkiewicz równie dumny jak skąpy, przywitawszy się z gospodynią i z podelbą obejrzawszy przytomnych, zasiadł, rozpierając się w krześle na pierwszym miejscu, najdziwniejszymi minami usiłując sobie nadać powagę, której nie miał ani w charakterze, ani w powierzchowności; rozmowa już się kleić poczyniała, a pani Drabicka szanując piętnastu chłopów sąsiada, dosyć go przyjmowała grzecznie, gdy Kurta drugi raz w ganku naszczekiwać zaczął.

— A to skaranie Boże! mruknęła pani Drabicka, — znouu ktoś.

Był to wystrojony w granatową węgierkę pan Jacek Ultajski, niby to z interesem, ale w istocie tylko z ciekawością i myślą tajemną zaproszenia gościa, gdyby można do siebie na wieczrę. Tego znouu, jako jurisdatora, przyjąć było potrzeba uśmiechem. Julian spojrzął na Aleksego, ruszyli ramionami; ledwie usta otworzył pan Jacek, pochodzenie swe zdradził; zdawało się nawet Karlińskiemu, że go już gdzieś widział i nie mylił się,

bo ostatnia służba Ultajskiego była w kluczu Karlińskim... Gdyby był wiedział, że spotka się z Julianem, nie takby z interesem spieszył; ale wszedłszy siedzieć już musiał, odstąpiwszy tylko projektu wieczery.

Tylko co się porozsiadali wszyscy, dając miejsce panu Jackowi od żony swej komplement prawiaćemu gospodyni, gdy Kurta zahankał jeszcze... pani Drabicka nie wytrzymawszy już, półgłosem odezwiała się — ze skaraniem Bóżem.

Na progu uśmiechała się mała, niepoczesna, głupawa figurka ojca dziewięciorga dzieci i męża Anieli z Pierzchowskich Butkiewiczowej, pana Jozafata, który w płóciennym surduciku, mimo wiadomości żony, wyrwał się do starego dworu, zobaczyć, co się tam dzieje. Zobaczywszy brata Mamerta, pan Jozafat znięszał się, gorzej jeszcze skłopotala go przytomność Ultajskiego, z którym był, z powodu żony, w najgorszych stosunkach, tak, że się odgrażali wzajemnie omijając, kijami dać sobie przy pierwszej zrzeczności. Obchodząc więc Ultajskiego, w kątku usiadł ledwie pan Butkiewicz, gdy tuż za nim wpadł raźniej od wszystkich, może najśmieszniejszy z nich, pan Pryscjan Prus-Pierzchowski, który z objąć swej wdowy się wyrwał, przyrzekając zdać jej sprawę wieczorem ze swych odwiedzin. Ten był tak nieoszacowany ze swą elegancją pozawczorajszą i miną karykatury Daumiera, tak pewien siebie i wyższości swej nad sasiadów, że Julian, którego przybywający zaczynali już męczyć, rozdo-bruchał się na widok jego...

Pryscjan miał włosy rudawe, długie, spadające na barki i przedzielone na czole z symetrycznością, zdradzającą pomoc życzliwej jakiejś rączki, wąsik wymuskany, podbródek obfity, szarawary w kraty, jakie tylko na

kołdrach widzieć się dają, kamizelkę podobną *à l'anglaise* i surducik niewiele dłuższy od spencera pana Mamerta. Dodajmy do tego czapkę z kutasem, i dewizki zwieszane na żołądek, a będziemy mieli lekki rys człowieka, który tak gorącą miłość potrafił wzbudzić w pani Celestynowej.

Do kompletu sąsiadów brakło już tylko pani Celestynowej samej, która mimo gorącej chęci wysledzenia, co się w starym dworze działo, cała zajęta Pryscjanem i wieczorną jego obiecaną wizytą, kładła pasjans, usiłując wybadać losy i odgadnąć swą przyszłość; i pana Teodora, wstrzymanego nieprzewidzianym wypadkiem, bo go gość jakiś najechał w chwili, gdy już wdziewał surdnt i zabierał się do Drabickich.

Dostateczna to jednak była dla Juljana próbka świata, w którym żył przyjaciół jego Drabicki, i jakkolwiek młody Karliński usposobionym był wszystko widzieć z dobrej strony, jakkolwiek oryginalne to towarzystwo po wysznurowanych postaciach, które u siebie spotykał, odznaczało się przynajmniej nieklamana powierzchnością, wybitną, przy najlepszych chęciach, trudno tu było znaleźć co, prócz śmieszności i niesmaku.

Pani Drabicka wcale się nie kryła już z nieukontentowaniem, jakie w niej to najście sąsiadów wzbudzało; mruczała pół-glosem:— Licho ich tu naniosto, — i zapytana, odpowiadała wcale nie przynuszając się do grzeczności. Hrabia tymczasem kończył swoją misę mleka w milczeniu, poglądając szydersko na gości; Pryscjan odważnie zbliżył się do Juljana i Aleksego, czując się godnym Karlińskiego i usiłując mu dać wielkie o sobie wyobrażenie minami, które wyrabiał. Pan Mamert nadęty obserwował, pan Jozafat siedział w kącie,

pragnąc się tylko wymknąć co prędzej, a Jacek Ultajski dla zajęcia kręcił wąsy, nie wiedząc do kogo się ucześcić.

Rozmowa iść nie mogła, ten i ów bąknął słówko, które nie podniesione padało na ziemię.

Juljan nie dając po sobie poznać, ciekawie się przypatrywał towarzystwu, które pierwszy raz widział zbliżską; — i widząc, że był zarówno przedmiotem ciekawości, po cichu wyniósł się, pożegnawszy panią Drabickę...

Aleksy przeprowadził go na ganek.

— A co? zapytał ze smutnym uśmiechem — czy moi sąsiedzi i współ-towarzysze doli nie warci twoich lalek wyszurowanych, na których narzekasz, Julianie.

— *Ambo meliores*, odparł Karliński, ale tu przynajmniej jest charakter i każdy nosi napisane na czole, z kąd wyszedł i dokąd zmierza.

— A! gdybyś pożył z nimi! kto wie, czyby ci ten charakter nie dokuczył, czybyś i tu nie znalazł komedji odegrywanej z pozorną szczerotą... a w dodatku tyle gburowstwa!! tyle dumy!

— Wszędzie ludzie ludźmi, zawołał Julian — ale z dzisiejszych twych gości sądzić trudno o społeczeństwie, którego część przedstawiają, i... zdaje mi się, że Żerby muszą być wyjątkową kolonią oryginałów.

— Powiedz karykatur!

— Do widzenia w Karlinie!

Aleksy nie odpowiedział.

— Powtarzam, do widzenia w Karlinie, rzekł Julian, — nie prawda? przyjedziesz do mnie... Bez ceremonji, jak do brata, będziemy sami... w Karlinie nie mam tak bliskich sąsiadów... słowo, kochany Aleksy?

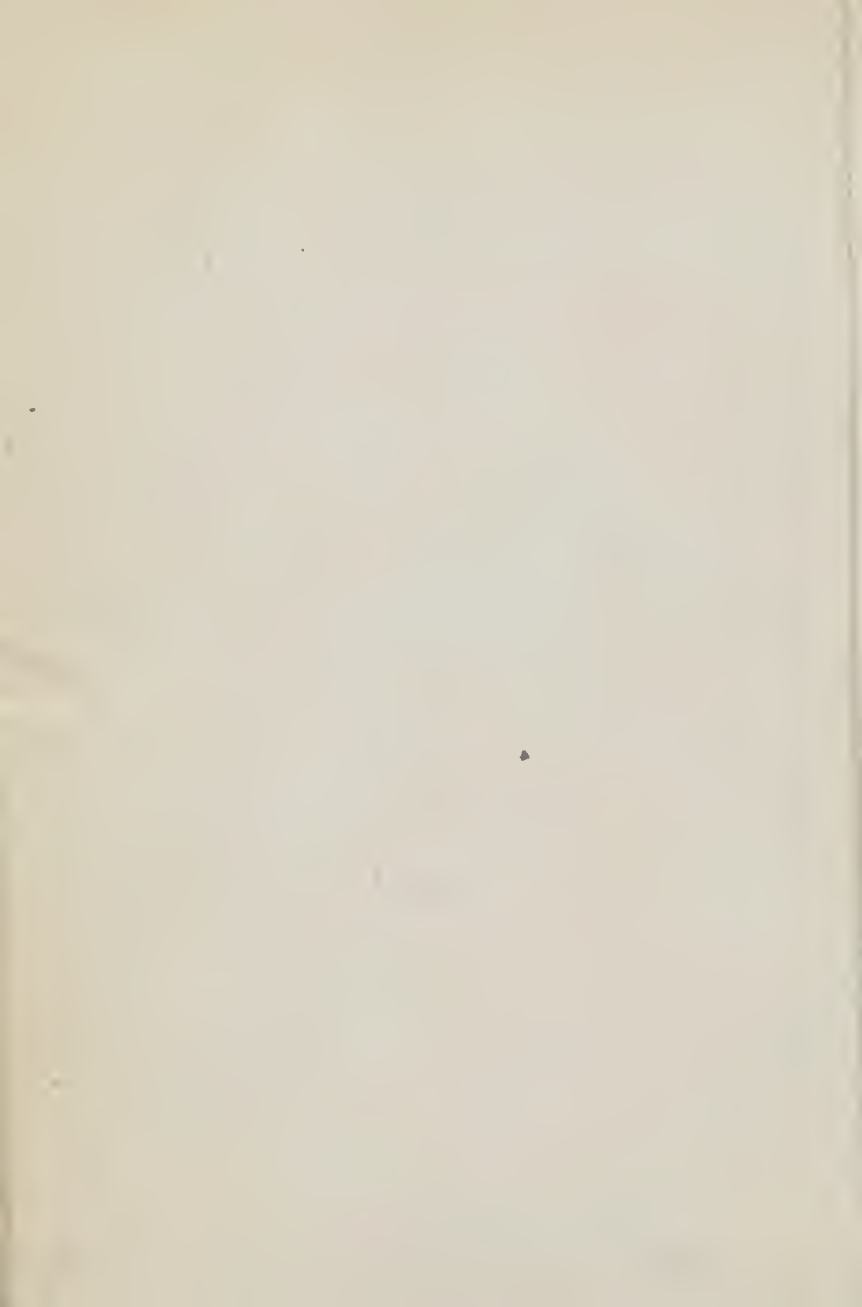
— Słowo, kiedy każesz, ale pamiętaj, żebym ja tam nie wyglądał u ciebie jak u mnie ci panowie... do widzenia.

Juljan skoczył do powozu i koczyc znikł z oczu ciekawych, które nań przez wszystkie okna bawialnego pokoju pooglądały.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.











Biblioteka Raczyńskich

JK 1420



JK1420